

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Katy McKellen z odrazą spoglądała na kolorowe lampki, połyskujące na gałęziach choinki. Czuła wstręt, słuchając wesolej paplaniny i śmiechów uczestników przyjęcia, którzy kręcili się po niewielkim mieszkaniu. Krótko mówiąc, nienawidziła świąt.

Nie, to nieprawda, poprawiła się. Nienawidziła jedynie tych świąt: pierwszego Bożego Narodzenia od czasów separacji, pierwszego od śmierci syna. To będą pierwsze święta, które spędzi całkiem sama. I myśl o tym napełniała ją lękiem.

Uniosła głowę, z roztargnieniem sącząc grzane wino. Z naprzeciwnika przyglądała jej się z uśmiechem jakaś kobieta. Katy uprzejmie odpowiedziała uśmiechem, zastanawiając się, czy ta nieznajoma wie cokolwiek o jej przeszłości. Czy wie, że cały jej świat legł w gruzach? Czy wie, że za dwa tygodnie, kiedy wszyscy będą otwierać prezenty, jeść indyka, odwiedzać rodzinę i znajomych, Katy będzie się modlić, by ten dzień wreszcie się skończył?

W rozpaczliwej próbie odsunięcia ponurych myśli, skoncentrowała się na sukni nieznajomej, oszałamiającej kreacji z błyszczących czarnych cekinów. Nagle zrozumiała, że straciła wycucie mody. Zaczęła podejrzewać, że jej ciemnozielona aksamitna suknia jest beznadziejnie niemodna. Nie była nowa, ale przez ostatnie kilka lat Katy nie miała okazji do towarzyskich spotkań. Każdą wolną chwilę spędzała przy dziecku. Pod koniec wzięła nawet urlop. Zresztą nie miała wtedy wyboru, miejsce matki jest u boku umierającego syna.



MILCZENIE ANIOŁÓW

Przestań, McKellen! Zapomnij o przeszłości. I nie myśl o sukni. Ani o włosach. Odgarnęła na miejsce kilka niesfornych miodowych kosmyków. Jej fryzurę można było nazwać „rozczochronym paziem”.

Wypiła jeszcze łyk pachnącego gałką muszkatołową wina. Tak, suknia nieznamomiej była wspaniała. I włosy były wspaniałe. Przyjęcie było wspaniałe. I cały ten cholerny świat był wspaniały!

-- Jak leci? - odezwał się jakiś głos za jej plecami.

Katy obejrzała się i napotkała ciemnobrązowe, zatroskane oczy Janny Siegel. Była gospodynią przyjęcia i od prawie dwudziestu lat najlepszą przyjaciółką Katy. Razem kończyły Uniwersytet Północnej Karoliny, Janna psychologię kliniczną, a Katy resocjalizację. Wkrótce potem Katy była druhną na ślubie Janny. Dwa miesiące później, Janna zrewanżowała się, pełniąc obowiązki światka Katy. Po latach, w odstępie, kilku, miesięcy, rodziły dzieci. Ale na tym kończyło się podobieństwo. Syn Janny urodził się zdrowy. Syn Janny nie umarł zaledwie kilka dni po piątych urodzinach.

- Świetnie - odparła Katy, bohatercko tłumiąc sarkazm. - W najlepszym porządku.

- Kłamczucha - powiedziała Janna cicho i zanim Katy zdążyła coś odpowiedzieć, dodała: - Święta zawsze są najgorsze.

- Tak - przyznała Katy.

Chociaż śmiertelnie chory, to jednak syn był przy niej w ostatnie Boże Narodzenie. Był z nią jeszcze przez tydzień nowego roku. Pochowała go w chłodny poniedziałek. A w jeszcze chłodniejszy wtorek złożyła pozew o rozwód.

- Będzie lepiej. - Janna ścisnęła jej rękę. - Obiecuję.

Obiecuję, Katy, że będę przy was, kiedy nadejdzie koniec. Przysięgam na nasze małżeństwo. Przysięgam... przysięgam... przysięgam...



Jak tonący, Katy walczyła, by wyrwać się na powierzchnię. Koncentrowała się na słowach Janny, jakby były liną ratunkową, łączącą ją z normalnością.

- Czas leczy wszystkie rany - usłyszała słowa przyjaciółki. Czy naprawdę? Zależy, jakie to rany. Choć było jej ciężko, zaczynała się godzić ze śmiercią syna. Była nieunikniona. Nie mogła się jednak pogodzić z tym, że jej mąż złamał obietnicę. To nie było nieuniknione i wciąż sprawiało straszliwy ból.

Nagle wokół rozległ się głośny śmiech. Katy z wdzięcznością wykorzystała okazję do zmiany tematu.

- Jak Ricky potrafi spać w tym hałasie?

- Nie śpi. - Janna uśmiechnęła się. - Ogląda na wideo „Fantazję”, swój świąteczny prezent. Wytłumaczył nam, że widocznie Święty Mikołaj chciał, by dostał go wcześniej, inaczej znalazłby go dopiero pod choinką.

Katy zaśmiała się z nad wiek rozsądnego rozumowania chrześniaka.

- Poprzednio twierdził chyba, że nie ma żadnego Świętego Mikołaja. Jak on to ujął? Nie ma fizycznych dowodów podtrzymujących teorię Świętego Mikołaja, a konstrukcja aerodynamiczna renifera wyklucza lot...

- To było w zeszłym tygodniu. -Aha.

- W tym tygodniu wierzy w Świętego Mikołaja i latające renifery. Przypuszczam, że w związku z nadchodzącymi świętami uznał to za rozsądne.

- Obstawia obie strony.

- Dokładnie. Poza tym miał inne sprawy na głowie.

Ciekawsze. Powiedziałałam mu, że kotka będzie miała kociaki i ogromnie go fascynuje fakt, że młode rosną w brzuchu. Z dziesięć razy musieliśmy sprawdzać brzuch Śmietanki.



Sprawdzę, jak on kopie.

Skąd wiesz, że to on?

Bo wiem. Wierz mi, to będzie chłopak.

- Chce wiedzieć, jak tam trafiły. - Katy skupiła się ponownie na opowieści Janny. - Oczywiście, kazałam mu spytać Johna.

Katy potrząsnęła głową, by stłumić aż nadto realny głos. Uświadomiła sobie, że przyłożyła dłoń do brzucha. Cofnęła ją, zanim ktokolwiek zauważył.

- Myślałam, że wy, psycholodzy, potraficie sobie radzić z takimi pytaniami o ptaszki i pszczołki.

-Potrafimy. Ja sobie poradziłam. Zrzuciłam robotę na ojca. Uśmiechnęły się obie.

- Nie sądzę, by Ricky uwierzył w choć jedno słowo Johna. Już łatwiej jest pogodzić się z istnieniem Świętego Mikołaja i latających reniferów. Trzeba przekonać dziecko do zupełnie obcych pojęć. Trzeba...

- Hej!

Katy i Janna odwróciły się. W drzwiach kuchni stał John Siegel. Katy zawsze miała wrażenie, że John i Janna zostali dla siebie stworzeni. Oboje ciemnowłosi, ciemnoocy, oboje atrakcyjni, niezwykle inteligentni i naprawdę mili. Dawno temu wierzyła, że ona i Connor też zostali stworzeni specjalnie dla siebie. Dawno temu wierzyła, że nic nie może ich rozdzielić. Jakże ironiczny, jak tragiczny był fakt, że dokonał tego ich syn, którego oboje tak gorąco kochali.

- Telefon! - zawołał John, trzymając w ręku słuchawkę.

Katy nawet nie słyszała dzwonka. Janna podeszła do męża.

- Do Katy - wyjaśnił i dodał: - Chyba z pracy. Przez ostatnie dziesięć lat Katy pracowała w policji jako psycholog. Zajmowała się głównie rodzinami



aresztowanych lub skazanych. Pracowała też z ofiarami przestępstw, pomagając im zapomnieć o tragicznych doświadczeniach i żyć dalej. W szczególności zajmowała się dziećmi. Zwykle długo tkwiła w biurze, a potem dzień i noc pełniła telefoniczny dyżur. Kochała swój zawód. Szczerze mówiąc, gdyby nie praca, w tej chwili nosiłaby kaftan bezpieczeństwa i mieszkała w obitej materacami celi.

- Przepraszam - rzuciła i ruszyła do kuchni, po drodze zdejmując perłowy kolczyk. - Dzięki - powiedziała, biorąc słuchawkę.

John jak zwykle poklepał ją życzliwie po ramieniu. Wiedziała, że on i Connor nadal się przyjaźnią. Czasem z najwyższym trudem powstrzymywała się, by nie spytać, co u niego słychać. Ale nie pytała. No dobrze, rzadko pytała. Gdy tylko przychodziła jej na to *ochota*, *przypominała sobie, dlaczego wystąpiła* o rozwód, rozwód, który zostanie orzeczony za kilka tygodni. To wspomnienie studziło ciekawość.

- Katy McKellen - powiedziała do mikrofonu. Przynajmniej z dwóch powodów była zadowolona, że ją wzywano. Zadowolona, że ktoś przerwał jej rozmyślania, zadowolona, że będzie mogła opuścić przyjęcie... -To twoja pierwsza impreza od roku, a ja muszę cię z niej wyciągnąć. - Katy natychmiast rozpoznała głos. Należał do dyspozytorki komisariatu, starszej kobiety, z pozoru szorstkiej, lecz o czułym sercu, która zawsze potrafiła ją pocieszyć.

- Nawet nie wiesz, Hanno, jaka jestem ci wdzięczna.

- Tym bardziej jest mi przykro.

- Widzę, że jesteś twarda jak zawsze. - Katy uśmiechnęła się. - Co masz dla mnie?

- Porzucone dziecko, chłopiec, około sześciu lat. Fakt, że chodziło o dziecko, natychmiast przykuł jej uwagę.



- Zaraz będę w komisariacie.

- Nie ma go tutaj. Jest w toalecie na stacji benzynowej przy... - Dyspozytorka podała adres północnej części Charlotte, dobre dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut jazdy od podmiejskiego domu Janny i Johna.

Planując w myślach trasę, Katy zastanawiała się, dlaczego dziecka nie przewieziono do komisariatu.

- Nikogo do siebie nie dopuszcza. Mają nadzieję, że ty będziesz miała więcej szczęścia - wyjaśniła Hanna.

- Już jadę - rzuciła zaintrygowana Katy. -Przygotuj się. Nie sądzę, żeby to była miła sprawa. Po pięciu minutach, opatulona w ciężki wełniany płaszcz, jechała już w stronę stacji benzynowej. Żegnając się, wyraziła żal, że musi wyjść wcześniej. Miało to brzmieć szczerze, ale wiedziała, że Janna przejrzała jej grę.

Nie myśląc o wymijanych samochodach, skupiła się na pożegnalnej uwadze Hanny. Katy martwiła się tym, co dorośli robią dorosłym, a złościło ją to, co dorośli robią dzieciom. W ciągu lat pracy w policji widziała wszystko, co można zobaczyć, a potem jeszcze trochę. Nie była delikatną duszyczką, nie potrafiącą spojrzeć w twarz często brutalnej prawdzie. To, że Hanna uznała za konieczne ostrzec ją, mówiło wiele. I nic dobrego.

Droga do stacji zajęła pół godziny. Mijając zakręt, Katy nie miała wątpliwości, że trafiła we właściwe miejsce. Przy stacji stało z pół tuzina radiowozów. Jeśli cokolwiek mogło wstrząsnąć policjantami, to tylko wezwanie w sprawie dziecka.

Zatrzymała się przy radiowozie i wysiadła, zostawiając torebkę. Lodowaty wiatr przeszył ją na wylot i rozwiął włosy na wszystkie strony. Uniósł kołnierz płaszcza, instynktownie wciskając brodę w ciepłe



welniane okrycie. Ominęła świeżo zamrażniętą kałużę i ruszyła w stronę policjantów. Jeden z nich, sierżant Abrams, wyszedł jej na spotkanie. Służył w polcji od dwudziestu lat i mniej więcej tyle samo włosów pozostało na jego lśniącej czaszce.

- Niech to szlag! Cieszę się, że pani dojechała
- powiedział.
- Byłam po drugiej stronie miasta - wyjaśniła. - Chodzi o porzucone sześćioletnie dziecko? - spytałaby nie marnować czasu.
- Zgadza się. Nie wiem, jak długo tu jest. Ktoś chciał skorzystać z toalety i znalazł go przed godziną.
- Nikt nie widział, kto go tu przywiózł?
- Nie. Jest spory ruch. Ciągłe ktoś przyjeżdża i wyjeżdża.
- Dzieciak nie dopuszcza nikogo do siebie?
- Nie. Wrzeszczy, ile sił w płucach. Co gorsza, te wrzaski przechodzą w żałosne jęki. Nelson wziął go na ręce i wypuścił, bo mały walczył jak zwierzę. Nikt nie chce ryzykować, by nie skrzywdzić go jeszcze bardziej. Jest śmiertelnie przerażony. Liczyliśmy, że może kobieta będzie miała więcej szczęścia.
- Miejmy nadzieję - odparła Katy.
- Ten mały złamie pani serce - dodał Sam Abrams, jakby on także uznał, że musi ją ostrzec.

Przykro mi to mówić, ale syn państwa ma stwardnienie guzowate. To wada genetyczna, której wynikiem jest pewien stopień opóźnienia rozwoju. Powoduje, że pacjent ma skłonności do guzów. Te dziwne stany u dziecka, które państwo zauważyli, to były ataki. Istnieje zwykle korelacja między wiekiem, w którym rozpoczynają się ataki, a stanem zaawansowania choroby. Ponieważ u tego dziecka zaczęły się zaledwie po trzech tygodniach od urodzenia, możemy przewidywać najgorsze konsekwencje. Oznacza to, że chłopczyk



będzie bardzo mocno opóźniony w rozwoju. Prawdopodobnie nigdy nie będzie chodził ani mówił. Statystycznie, proszę mi wybaczyć brutalność, ma nikłe szanse na osiągnięcie dojrzałości.

To, co przeżyła, dało jej niemal bezgraniczną odwagę.

Pozwoliło też ze spokojem odpowiedzieć:

- Moje serce już jest złamane.

Szli w stronę toalety. Katy przyspieszyła kroku.

- Katy? - zawołał Sam Abrams. Obejrzała się.

- Jest tu prasa.

Nie była zaskoczona, że zjawili się dziennikarze.

Zaskoczyło ją raczej, że Sam o tym wspomniał. I to, jak na nią patrzył.

- Connor jest tutaj - dodał cicho.

Connor? Na pewno źle go zrozumiała. Na pewno to wiatr zniekształcił słowa Sama. Tak myślała, przeszukując wzrokiem tłum i modląc się. Właściwie nie wiedziała, o co się modli: żeby jej mąż tu był, czy żeby go nie było? A potem, odpowiedź na to pytanie przestała być ważna.

Ważna była tylko para błękitnych oczu - przenikliwych błękitnych oczu, które zdawały się szukać jej w tłumie.

Na widok Katy Connor McKellen odniósł wrażenie, że ktoś trafił go w brzuch kijem do baseballu. Kiedy usłyszał, że ma przyjechać psycholog, był pewien, że to będzie ona.

Sądził, że jest przygotowany na to spotkanie, ale się mylił.

Boże, jak bardzo się mylił! Od pierwszego spotkania, szesnaście lat temu, gdy wpadła na niego - dosłownie - na

uniwersytecie, aż posypały się książki, uważał ją za

najpiękniejszą kobietę na świecie. Nadal tak sądził. Nie

znaczy to, że Katy była klasyczną piękną; miało to

raczej związek z jej czystym, świeżym wyglądem,

rodzajem poświęty i tym, że wszystko w niej szeptało:

wyciągnij rękę i dotknij mnie.



Dokładnie to teraz zrobił, w wyobraźni.

Przypomniął sobie, co czuł przesuając palcami po jedwabistych jasnych włosach. Pamiętał jej miękką i zaróżowioną skórę, delikatne i słodkie wargi. Najlepiej pamiętał oczy: łagodne i dobre, tak ciemnozielone, że zawsze się zastanawiał, czy oczy rzeczywiście mogą mieć taką barwę, czy tylko sobie to wyobraża. I czy wyobrażał sobie, że w żarze namiętności ciemniały jeszcze bardziej? Czy te same oczy wpatrywały się teraz w niego?

Connor miał wrażenie, że ogarnia go paraliż. Powiedziałby wszystko, zrobiłby wszystko, by odwrócić czas. Oddałby duszę, by znów jej dotknąć, pocałować ją, jeszcze raz trzymać w ramionach. Ta świadomość wywołała falę bólu, a ten z kolei sprowadził starego przyjaciela: gniew. To ona usunęła go ze swego życia, ona zbudowała mur wokół siebie i ich syna, Patricka, i na ten mur nikomu nie pozwalała się wspinać. Nawet jemu, ojcu i mężowi. To ona bez słowa wystąpiła o rozwód, odrzucając go niczym stary, nie pasujący płaszcz.

Jak to się stało? Na to pytanie Connor wciąż nie znał odpowiedzi. I pewnie nie pozna. Wraz z pogarszaniem się stanu zdrowia syna rozpadało się ich małżeństwo. Dlaczego zawiedli się na sobie w chwili, gdy rozpaczliwie siebie nawzajem potrzebowali? Nie, na to nie było odpowiedzi.

Ani teraz, ani nigdy.

Została tylko porażka.

Został tylko ból.

Został tylko gniew.

Na widok Connora Katy doznała uczucia, że wpadła pod rozpędzony autobus. Potem zbudził się irracjonalny gniew. Życie miało czelność trwać dalej, mimo śmierci Patricka, mimo separacji. Connor też



MILCZENIE ANIOŁÓW

miał czelność: nie tylko żył dalej, ale pozostał tak samo zapierającym dech w piersiach mężczyzną.

Wbrew woli Katy wpatrywała się chciwie w każdy rys jego twarzy, zbyt szczupłej i surowej, by nazwać ją przystojną w zwykłym sensie, jednak takiej, której nie dało się zapomnieć. Zauważyła ciemne falujące włosy, oczy bardziej błękitne niż morze i ostro zarysowaną szczękę. Przez wszystkie lata Katy nie pamiętała ani jednego wieczoru, żeby zarost nie okrywał cieniem jego policzków. I teraz sprawiał, że wyglądał pociągająco i szorstko. Tak jak i jego ubranie, stare džinsy, wytarte buty i skórzana lotnicza kurtka, porysowana i znoszona.

Katy nienawidziła siebie za to, że niczego nie pragnie tak bardzo, jak znaleźć się w jego ramionach, osłonięta przed zimmem i światem.

Jak mogło popsuć się to, co kiedyś było doskonałe?

Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Connor odsuwał się. w miarę, jak pogarszało się zdrowie Patricka. Nie oczekiwała przecież, że rzuci pracę, nie pozwalał na to ich finansów. Mimo ubezpieczenia, koszty leczenie syna były wysokie jak wieżowiec.

Nie spodziewała się jednak, że tyle czasu będzie spędzał poza domem. Zaczęła podejrzewać, że czyni to świadomie. Ale w końcu tylko jedna rzecz miała znaczenie. Przysiągł, że zjawi się, gdy będzie umierał ich syn. A był wtedy na lotnisku w Atlancie. Nie było go, by tulić dziecko. Nie było go, by ją wesprzeć. Nie dotrzymał obietnicy. Katy zapiekła się w gniewie.

Był wygodny.

Dawał pocieszenie.

Był wszystkim, co jej pozostało.

Grupa reporterów podbiegła do Katy, przesłaniają Connora i blokując drogę do toalety.



- Pani McKellen, może nam pani powiedzieć coś na temat dziecka?

- Czy to prawda, że zostało porzucone?

- Czy wie pani coś o jego rodzicach?

- Nie wie nic ponad to, co już wam powiedzieliśmy -

oświadczył Sam Abrams, prowadząc Katy przez tłum.

Kilku policjantów spokojnie i skutecznie uformowało barierę pomiędzy nią a ciekawskimi dziennikarzami. Z boku stał niewysoki, tęgi właściciel stacji i wyglądał tak, jakby to wszystko było w jakiś sposób jego winą.

Drzwi toalety były zamknięte, by w miarę możliwości nie wpuszczać zimnego powietrza. Sam otworzył je wolno i przy wtórze cichego zgrzytu zawiasów w polu widzenia pojawiło się wewnątrz niewielkiego pomieszczenia.

Przygotowała się psychicznie na to, co miała za chwilę zobaczyć. Później uznała, że ta próba od początku była skazana na porażkę. W żaden sposób nie mogła się uodpornić na taki widok.

Chłopczyk kulił się w kącie niczym przerażone zwierzątko. Ze względu na ciasnotę pomieszczenia, wcisnął się za muszlę klozetową. Jego ubranie składało się głównie z podartego dresu w białe-czarne pasy, poplamionego brudem i uryną. Mały zmoczył się i to niedawno, sądząc z duszącego zapachu. Pod dresem miał czerwony sweter, także w strzępach, jakby odziedziczył go po zbyt długim łańcuchu poprzedników. Stopy okrywały mu tenisówki z podeszwami zaklejonymi gumą i smarem. Czy też, ściślej mówiąc, nie okrywały. Wyraźnie zbyt małe, uciskały palce, które miejscami sterczały pod dziwnymi kątami z licznych dziur. Jeden but był rozcięty, wystawiając stopę dziecka na mróz. Chłopiec nie miał płaszcza ani kurtki, niczego, co mogłoby chronić przed bezlitosnymi podmuchami zimy.

- O mój Boże - szepnęła Katy.



Na dźwięk głosu chłopiec, który sprawiał wrażenie Pograżonego w śpiączce, uniósł głowę. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła Katy, było oko. Czerwone i opuchnięte, zaczynało już nabierać fioletowosinej barwy. Było jasne, że uraz powstał niedawno, może wtedy, gdy ktoś go tutaj porzucił. Inne sińce, jeden na policzku, jeden na szyi, oba żółtawozielone, pochodziły pewnie sprzed kilku dni. Potem dostrzegła, że mimo spuchniętego oka i brzydkich sińców dziecko wygląda zupełnie zwyczajnie. Jasnowłose, z ciekącym piegowatym nosem, powinno się bawić transformersami, a nie siedzieć w jakiejś zapomnianej przez Boga, zimniejszej od lodu i cuchnącej środkami dezynfekcyjnymi toalecie. I patrzeć na nią nieobecny spojrzeniem, oczami ciemnymi jak noc. Ślady wyschniętych łez znaczyły brudne policzki.

Katy zrozumiała., że dziecko nie może już płakać. Znalazło się teraz w przestrzeni bez łez, w miejscu nawiedzonym, w miejscu, które sama знаła aż za dobrze. Leżało ono za emocjonalnym wyczerpaniem, a kończyło się tuż przed apatią.

- Ktoś naprawdę wyciął mu numer - usłyszała szept Sama. Nie ufała sobie na tyle, by odpowiedzieć. Ogarnął ją gniew tak potężny, że aż bolesny. Zrobiłaby wszystko, by ocalić syna, swojego chorego syna, a oto widziała idealnego małego chłopca, porzuconego jak śmieć. Kto mógł być tak nieczuły, by popełnić takie okrucieństwo?

Zsunęła z ramion płaszcz i podeszła. Chłopiec jęknął, i ten żalony głos przebił serce Katy. Odpychając się nogami od zimnych kafelków podłogi, próbował cofnąć się głębiej w kąt, co było niemożliwe, gdyż plecami dotykał już ściany. Zrobiła kolejny krok, Potem jeszcze jeden. Dziecko znowu jęknęło. Tym razem w brązowych oczach błysnął lęk.



Katy zatrzymała się. Poczekała. Potem przykucnęła.

- Wszystko w porządku, skarbie - powiedziała cicho. - Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję.

Mina chłopca zdawała się mówić: pewnie, już to słyszałem.

- Wiem, że ktoś cię skrzywdził - powiedziała Katy. - Ale to już się nie powtórzy..Nigdy.

Wyczerpane dziecko smętnie łypnęło okiem.

- Lubię małych chłopców - powiedziała łagodnie. —Wiesz,

że kiedyś też miałam małego chłopca? -Dziecko nie

odpowiadało, choć wydawało się, że uważnie słucha

każdego słowa. - Naprawdę. I wiesz co? Był w twoim

wieku. I miał takie same włosy i śliczne niebieskie oczy.

Nazywał się Patrick. A teraz bądź odważny i powiedz, jak masz na imię.

Odpowiedzią była cisza.

- Nic nie szkodzi. Możesz powiedzieć później. A teraz, czy pozwolisz, że okryję cię płaszczem? Strasznie tu zimno.

Katy przykłęknęła na podłodze. Przez jedwabną pończochę, a nawet przez podeszwy zielonych satynowych butów

przenikał chłód. Mogła sobie wyobrazić, jak zimno sączy

się do tego małego ciała, Bóg wie jak długo siedzącego na

lodowatych kafelkach. Mimo to, chłopiec nie drżał. Może

przekroczył i ten etap.

Nadal nie reagował, jeśli nie liczyć mrugnięcia spuchniętą

powieką. Katy wiedziała, że musi zacząć działać.

Przemawiając cicho, wyciągnęła do niego ręce.

- Chodź, kochanie - powiedziała, chwytając go lekko za ramiona.

Dziecko jęknęło, krzyknęło i próbowało się wyrwać.

Zaskoczona jego siłą, Katy nie ustąpiła i nie przestraszyła, się krzyków przechodzących w zwierzęcy



skowyt. Zebrała się na odwagę i przycisnęła malca do siebie.

- Cicho, skarbie. Tylko cię przytulę i okryję płaszczem. Chłopiec walczył. Kopał. Próbował się wyrwać. Zaciśnął małe piąstki i bił ją po brodzie, szyi i piersiach.

- Cii... cicho... - mruzczała, bez protestu przyjmując ciosy. Nie zwracała uwagi na odór moczu. Jedną ręką obejmowała plecy, a drugą przytrzymywała głowę chłopca. Zaczęła się kołysać w przód i w tył.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - szeptała. - Wszystko będzie dobrze.

Minuta, dwie, pięć minut, Katy nie wiedziała, ile minęło czasu. Wiedziała tylko, że dziecko jest coraz słabsze.

Uderzenia były mniej zdecydowane i zadawane bez przekonania. W końcu małymi piąstkami chwycił jej sukienkę, jakby pragnąc bliskości czegoś, z czym jeszcze przed chwilą walczył, i wtulił jej w ramię brudną twarz.

Kontakt. Ludzki kontakt. Dla dziecka czy dla dorosłego, nadchodzi taki czas, że potrzeba kontaktu jest większa niż lęk. Katy wiedziała, że taka właśnie chwila nadeszła dla tego malca. Przyłgął do niej, milczący i wyczerpany.

Poczuła łzy w oczach. Wiedziała, że to nieprofesjonalne, że to wbrew wszystkiemu, czego ją uczono. Wiedziała o tym, a jednak nie potrafiła powstrzymać łez. Nawet z nimi nie walczyła. Po prostu zamknęła oczy, otuliła dziecko płaszczem i kołysała lekko.

Nie wiedziała, ile minęło czasu. Powoli uświadamiała sobie, że ściska chłopca równie mocno, jak on ją. Już tak dawno nie trzymała w ten sposób dziecka. A co ważniejsze, już dawno nie trzymała w ten sposób swego syna. Boże, jak bardzo za nim tęskniła! Boże, jak wiele gorzkich wspomnień budziło to dziecko!



Connor przecisnął się przez mur policjantów i stanął obok Sama w drzwiach toalety. Obraz Katy i chłopca ścisnął mu serce. Pamiętał, jak trzymała Patricka, kołysząc go lekko niczym cenną figurkę z porcelany. Pamiętał, jak do niego mówiła, jak opowiadała o kolorach jesieni, o zapachu kwiatów, o brzęczeniu trzmiela, jakby czuła, że czas syna jest ograniczony i chciała, by zabrał ze sobą całą tę bezcenną wiedzę. Connor pragnął wierzyć, że Patrick to rozumiał. Pragnął też być częścią tego scenariusza miłości i właśnie dlatego zbliżył się teraz do Katy i dziecka. Na odgłos kroków Katy uniosła głowę. Chłopiec także. Widząc Connora, znów zaczął jęczeć, płakać i ukrywać twarz.

Connor zatrzymał się.

Po raz kolejny jego obecność była zbędna. Tym razem pozwoliłby ból zamienić się w gniew. Gniew na tego, kto porzucił chłopca.

- Oboje zamarniecie, jeśli się stąd nie ruszycie - powiedział cicho.

Głos miał dokładnie taki, jak pamiętała Katy, *matowy* i niski. Tłumiąc wspomnienia, zaczęła wstawać. Zachwiała się pod ciężarem dziecka i natychmiast poczuła na łokciu dłoń Connora.

- No, już, zróbcie przejście - rzucił Abrams do stojących w drzwiach ludzi.

W magiczny sposób przed Katy otwierała się ścieżka. Wiatr, jakby na to czekał, pochwycił ją w swój zimny uścisk. Mocniej otuliła dziecko i próbowała opanować ogarniające ją drżenie. Nagle poczuła na ramionach skórzaną kurtkę Connora.

Obejrzała się.

- Nie potrzebuję... - zaczęła.

- Weź ją.



Głos nie dopuszczał sprzeciwu. Nie była zresztą przekonana, czy powinna natychmiast oddać kurtkę. Ciepła i obszerna, aż nazbyt znajomo pachniała skórą i mężczyzną. Przez ułamek sekundy Katy i Connor patrzyli na siebie.

- Weź - powtórzył.

Wiatr lodowatymi palcami przeczesał jego krótkie włosy, próbując rozrzucić je tak dziko, jak wcześniej fryzurę Katy. W tej chwili liczyło się tylko dziecko, a nie jej dawne życie z tym człowiekiem. Katy odwróciła się i ruszyła do samochodu. Natychmiast otoczyli ją dziennikarze.

Connor przyglądał się jej bez słowa. Tak jak już raz kiedyś. I tak jak wtedy, pozostał sam. Absolutnie boleśnie sam.



ROZDZIAŁ DRUGI

Nazajutrz, parę minut przed dziesiątą, na biurku Katy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, zastanawiając się, czy deszcz, który padał od świtu, przechodzi w deszcz ze śniegiem. Wydawało się, że tak.

- Katy McKellen. Słucham.

Connor zawahał się. Zastanawiał się, nie pierwszy raz zresztą, czy po rozwodzie Katy będzie nadal używać jego nazwiska. Wiedział, że kobiety czasem tak robią, ale jemu wydawało się to dziwne. Jeśli zrywa się wszelkie więzy z mężczyzną, po co zachowywać jego nazwisko, bezustanne przypomnienie minionego etapu życia? Powiedział sobie, że to nie jego sprawa, a pewnie wkrótce po Nowym Roku system prawny Północnej Karoliny wyda dokumenty, regulujące te kwestie.

- Nie przeszkadzam ci? - spytał w końcu.

Głos Connora zaskoczył Katy, głównie dlatego, że właśnie o nim myślała. Prawdę mówiąc, nie przestała o nim myśleć od wczorajszego wieczoru. Przekonywała samą siebie, że to z powodu spotkania z nim po tylu miesiącach i jego artykułu o porzuconym dziecku, w porannym wydaniu „Charlotte Observer”. Do tego jeszcze skórzana kurtka, która przez całą noc leżała przy łóżku. Położyła ją tam, powodowana jakimś odruchem, którego sama nie rozumiała. Chciała ją mieć przy sobie, co ją zdziwiło, a nawet lekko zdenerwowało.



- Nie — odparła, dziwnie zakłopotana, jakby Connor wiedział, gdzie spędziła noc jego kurtka i dzwonił, by uczynić z tego zarzut.

- Chciałem sprawdzić, czy policja wie już coś więcej o tym dziecku.

Katy odprężyła się. Prawie. Prawdziwe odprężenie nie było możliwe, dopóki w jej uchu brzmiał matowy głos Connora.

- Nie, nie znaleźli żadnych śladów. *Żaden* ze świadków na stacji nie zauważył nic podejrzanego.

- Więc jakie planujecie działania?

- Policja będzie zadawać pytania, dopóki czegoś nie odkryje. W tej chwili przygotowuję oświadczenie dla telewizji. Pełny opis plus zdjęcie chłopca. Może ktoś zobaczy fotografię i go rozpozna.

- Mogłabyś przesłać mi takie zdjęcie? Sam bym zrobił, *ale* nie warto *denerwować* dzieciaka, skoro ktoś już go sfotografował.

Katy usłyszała troskę w głosie Connora. Zirykowało ją to. Dlaczego nie okazywał takiego zainteresowania własnym synem? I coś w głębi duszy natychmiast zarzuciło jej niesprawiedliwość. Connor troszczył się o syna. Kiedy był w domu, ta troska była niemal dotykalna. Kiedy był...

Mimo wszystko, nie mogła go oskarżać o brak zainteresowania.

- Oczywiście, pošlę ci.

- To dobrze. Gazeta zleciła mi tę sprawę...

- Czytałam twój artykuł - przerwała mu. - Bardzo dobry.

Katy zawsze była najlepszym i najsurowszym krytykiem Connora. Ufał jej opiniom i przez ten rok bardzo mu ich brakowało. Zresztą tęsknił za nią na wszelkie możliwe sposoby. Był zły, lecz nie potrafił usunąć jej z pamięci. Powtarzał sobie, że wszystko się zmieni, kiedy sąd orzeknie rozwód.



- Dzięki - rzucił i dodał: - Wydrukujemy to zdjęcie.
- Dobrze. Może przez to zdobędziemy jakieś informacje.
- Fakt. - Nastąpiła chwila ciszy. - Co z nim? Przez lata Katy setki razy słyszała to pytanie i zawsze dotyczyło ich syna. To smutne, że z czasem odpowiedzi stawały się coraz bardziej posępne. Teraz jednak wiedziała, że Connor pytał o inne dziecko. Niestety, odpowiedź była tylko odrobinę mniej ponura.
- Oddano go pod opiekę państwa. Tę noc spędził w szpitalu.
- Co z nim? - powtórzył Connor.
- Fizycznie nie tak źle, jak się obawialiśmy. Sądziłyśmy, że doznał odmrożeń, ale chyba nie siedział na zimnie aż tak długo. Ma podbite oko i parę siniaków na całym ciele, jasny dowód, że był często bity. Obojczyk wygląda, jakby był kiedyś złamany. Zrósł się, ale niezbyt dobrze. Mały chyba nie był u lekarza.
- O Boże! -wybuchnął Connor. -Jak można zrobić dziecku coś takiego?
- Niestety, świat pełen jest szaleńców. Przez kilka sekund oboje jakby próbowali pogodzić się z tą okrutną rzeczywistością. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.
- Czy powiedział coś o sobie? - zapytał wreszcie Connor.
- Nie. Właściwie nic nie mówi, kiwa głową na tak, lub nie. I to tylko wtedy, gdy ma ochotę.
- Jak ma na imię?
- Trzyma to w tajemnicy. Jedno, co wiemy na pewno, to że boi się mężczyzn. W ogóle nie lubi obcych, ale kobiety toleruje. Mężczyźni to całkiem inna historia.
- To dość oczywiste, prawda?
- Z pewnością sugeruje, że to mężczyzna go skrzywdził.



- Co się z nim stanie?

- Kiedy wyjdzie ze szpitala, co jak rozumiem nastąpi jeszcze dzisiaj, trafi do izby dziecka. Nie wiem, co potem, wiele zależy od tego, czy odnajdziemy jego rodzinę.

- Nie odeślą go chyba...

- Oczywiście, że nie.

Umilkli oboje, jakby nie wiedzieli, co teraz powiedzieć. I znowu to Connor przerwał ciszę.

- Mogę liczyć, że będziesz przekazywać mi informacje na bieżąco?

- Oczywiście.

- To znaczy, chciałbym pomóc, na ile potrafię.

- Dam ci znać. A ty zawiadom nas, jeśli się czegoś dowiesz.

- Umowa stoi. I znów cisza.

Connor zastanawiał się, czy Katy też źle spała. Czy po spotkaniu z nim była tak samo wstrząśnięta? Czy liczyła dni do orzeczenia rozwodu? Może, w przeciwieństwie do niego, żyła jak gdyby nigdy nic? Może nie potrzebowała tego świstka papieru, kończącego coś, co dla niej skończyło się już dawno?

Katy zastanawiała się, co czuł Connor, kiedy znów ją zobaczył. A także, jak ona sama się czuła. Była zaniepokojona. Miała nadzieję, że będzie żyła sobie spokojnie, lecz to spotkanie wzbudziło wątpliwości. Ciekawe, jak on ułożył sobie życie?

- No tak - powiedział Connor - muszę wracać do pracy.

- Tak, ja też.

Kolejna chwila wahania, jakby oboje obawiali się zakończyć tę rozmowę.

- No to cześć - rzekł w końcu Connor.

- Cześć — powtórzyła Katy.

Odkładał już słuchawkę, gdy usłyszał jej wołanie.



- Connor?

- Tak? - odpowiedział.

- Zapomniałabym. Muszę ci oddać kurtkę. Dziwne, jakaś jej częśćka nie chciała się z nią rozstawać. Jednak inna część wolała natychmiast usunąć ją z życia. Wywoływała zbyt wiele wspomnień. Pamięć o świętach, kiedy mu ją dała, pamięć o tym, jak ją nosił z miną milionera i jak nie chciał się z nią rozstać, choć dawno minęły czasy jej świetności. A przede wszystkim budziła wspomnienia o tym, jak się z nią kochał, a ona nie miała na sobie nic prócz tej miękkiej skórzanej kurtki.

Connor odchrząknął lekko, speszony przywołaniem obrazu, gdy tylko kurtka okrywała nagie ciało Katy.

- Nie ma pośpiechu. Odbiorę ją przy okazji.

- Wiem, jak ją lubiłeś.

- Mam inne kurtki. Zresztą ta już jest trochę znoszona.

Katy mogłaby przysiąc, że uśmiech wykrzywił mu wargi.

Ten uśmiech, który zwykle wślizgiwał się w kącik ust i zachowując się jak zwykły przestępca, miał zwyczaj odbierać jej oddech.

- Tak? - spytała Katy, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - Kto ci to powiedział?

-Ty, o ile dobrze pamiętam. I to nie raz.

Chciała powiedzieć, że może się myliła, że warto zachować niektóre rzeczy, nawet jeśli są nieco zużyte. Wstrzymała się jednak. Przede wszystkim mogłby uznać, że chodzi jej o małżeństwo. Nie miała wątpliwości, że składając pozew postąpiła właściwie. Zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić w tych okolicznościach. Nie miała innego wyjścia. Kiedy ktoś zrani kogoś tak ciężko, jak on ją zranił, miłość nie może przetrwać.



- Znoszona czy nie, wczoraj ta kurtka uratowała mnie przed zapaleniem płuc.

- Jeśli to podziękowanie, to przyjmuję.

- Tak.

- Jak mówiłem, nie martw się. Wpadnę przy okazji i ją odbiorę.

Oboje poczuli, że ich serca zamierają na myśl o ponownym spotkaniu. Oboje zignorowali ten fakt, próbując jakoś zakończyć rozmowę.

Jeszcze słowo czy dwa, wreszcie ostatnie do widzenia i oboje wrócili do pracy, bojąc się przyznać, że niby taśmę bez końca odtwarzają w pamięci tę krótką rozmowę.

Katy wyszła z biura około czwartej, zajrzała do dwóch stacji telewizyjnych i udzieliła krótkich wywiadów do wieczornych wiadomości. Zabrała ze sobą fotografię dziecka. Nie wiedziała, czy jej wysiłki przyniosą jakiś skutek, ale pocieszała się, że zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, by odnaleźć rodziców chłopca.

Przypomniała sobie, że Connor prosił o zdjęcie, i zanotowała w pamięci, by przesłać mu je jak najszybciej. Jeśli wyśle dzisiaj pocztą, zdjęcie dotrze na jutro.

Po zakończeniu wywiadu Katy postanowiła odwiedzić małego. O tej porze dziecko powinno już opuścić szpital.

Od rana wciąż padał deszcz ze śniegiem, więc jechała wolno i ostrożnie. Mimo to myśli biegły swobodnie do obrazu chłopca skulonego w toalecie i głosu Connora w telefonicznej słuchawce. Jedno i drugie wspomnienie ścisnęło jej serce.

- Co z nim? - spytała parę minut później, gdy zdjęła płaszcz i zsunęła z głowy wełnianą chustę.

Ruth Roberts, wysoka czarna kobieta, szefowa izby dziecka, poprowadziła ją na górę.



-Trudno powiedzieć. Zjadł bez problemu, szczerze mówiąc tak, jakby od paru dni nic nie miał w ustach. Ale nie interesuje się zabawkami i nie bawi z innymi dziećmi. Woli być sam.

- Tak. Mogę to zrozumieć.

Katy myślała o mijającym roku, gdy w trudnych momentach w jednej chwili pragnęła kontaktu z innym człowiekiem, a w następnej samotności. Nie była pewna, czy Connor rozumiał, że ból sięga czasem tak głęboko, że nie można się nim podzielić, można go tylko znosić jak najodważniej. Ale nawet wtedy rozpaczliwie potrzebowała pewności, że jest przy niej, na odległość wzroku, wyciągnięcie ręki.

Widok chłopca siedzącego samotnie przy małym stoliku, podczas gdy inne dzieci bawiły się razem, zranił jej serce. Jednak z ulgą przekonała się, że mały wygląda o wiele lepiej niż wczoraj. Podarte ubranko zostało zmienione na jaskrawoczerwony dres i parę nowych teucnisówek. Z twarzy zniknął brud, a włosy miał umyte i uczesane. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać mały chłopiec, jeśli nie liczyć siniaków i podbitego oka, które spuchło chyba jeszcze bardziej.

- Można by pomyśleć, że przyzwyczaiłyśmy się do takich widoków - powiedziała Ruth, najwyraźniej tak samo poruszona.

- Kiedy to nastąpi, powinniśmy zmienić pracę.

- Masz rację.

Choć na całym stole leżały zabawki, chłopiec nie bawił się. Po prostu patrzył jednym okiem w przestrzeń. Katy ruszyła w stronę samotnej figurki. Nie podniósł głowy, choć musiał słyszeć kroki. Usiadła przy nim na małym krzeselku.

- Cześć - powiedziała.

Nie patrzył na nią. Nie powiedział ani słowa. W ogóle nie zareagował.



- Pamiętasz mnie? Cisza.

- Ja cię pamiętam. Żadnego odzewu.

- Podoba mi się twoje nowe ubranko. Czerwony, to mój ulubiony kolor. Patrz, taki sam kolor mają lampki na choince. - Katy skinęła w stronę udekorowanego drzewka w kącie pokoju.

Chłopiec nie przejawiał śladu zainteresowania nowym ubrankiem, czerwonym kolorem ani przystrojoną choinką. Katy zastanawiała się, co dla niego znaczyły święta. Czy kiedykolwiek dostał prezent? Czy siedział na kolanach Świętego Mikołaja? Czy pomagał matce piec pierniczki? Nagle chłopiec westchnął.

- Jesteś zmęczony? - A kiedy nie odpowiadał, mówiła dalej:

- Na pewno jesteś. Chcesz sięść mi na kolanach? - Żadnej odpowiedzi. - Lubię trzymać na kolanach małych chłopców. Kiedyś trzymałam tak mego synka. Kołysałam go i śpiewałam. Chcesz, żeby cię pokołysać i ci zaśpiewać?

Chłopiec nadal ją ignorował i tym razem to Katy westchnęła, z przytłaczającej frustracji. Lecz wciąż mówiła, o wszystkim i o niczym. O padającym za oknem deszczu, o świętach, Świętym Mikołaju, o zabawkach na stole. Żaden z tematów nie skłonił go nawet do podniesienia wzroku.

Wreszcie wyczerpana zrezygnowała i tylko siedziała w milczeniu. W pewnej chwili bez słowa wyciągnęła rękę i przykryła dłonią małą piąstkę. Bała się, że chłopiec cofnie rękę, ale nie. Więc siedzieli oboje w milczeniu, zadowolając się jedynym możliwym kontaktem.

Wreszcie Katy zabrała dłoń.

—Muszę już iść - powiedziała. - Ale zajrzę do ciebie jutro.



Jeśli miała nadzieję, że może teraz się odezwie lub przynajmniej na nią spojrzy, doznała rozczarowania. Nie zareagował na jej przybycie i teraz nie zareagował na wyjście. Katy miała wrażenie, że poniosła klęskę. Czuła się fatalnie.

Może właśnie dlatego przyszedł jej do głowy ten pomysł. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Nie była pewna, czy w ogóle świadomie podjęła decyzję, by zajrzeć do mieszkania Connora. W pewnej chwili zauważyła po prostu, że jedzie w tamtą stronę. Gdy to odkryła, przeprowadziła myślową dyskusję. Powiedziała sobie, że zostawi tylko fotografię. Oszczędzi to nieco czasu, co może być ważne przy poszukiwaniach rodziców chłopca. Lecz gdzieś w głębi umysłu tkwiła świadomość, że jest zrozpaczona i że nie chce wracać do pustego domu. W każdym razie nie teraz.

A jeśli Connora nie będzie? myślała, parkując samochód przed blokiem. I co w tym dziwnego? Na tym przecież polegał ich problem. Nigdy nie było go w domu. Nigdy nie był na miejscu, gdy go potrzebowała. A potem przypomniawszy sobie, że w tej chwili nie ma to znaczenia. Przecież chciała tylko oddać zdjęcie, a to może zrobić, nawet jeśli nie zastanie Connora w domu. Zostawi je w skrzynce pocztowej.

Otworzyła drzwi wozu, schowała kopertę pod płaszcz i pochylając głowę przed zacinającym deszczem, ruszyła do budynku. Po separacji Connor podał jej swój adres, lecz nigdy tu jeszcze nie była. Przejeżdżała kilka razy i przypuszczała, że jego mieszkanie powinno się mieścić w pierwszej części bloku. Po kilku sekundach przekonała się, że miała rację.

Drżąc z wilgoci i zimna, przycisnęła guzik dzwonka. Usłyszała ciche dzyń-dzyń i głośne stuk-stuk serca. Na miłość boską, co ona tu robi? Czy zupełnie straciła rozum? Nie odwiedza się przecież mieszkania byłego



już wkrótce męża. Nie po to, żeby zostawić zdjęcie, które równie dobrze można wysłać pocztą. A już na pewno nie dlatego, że miała ciężki dzień i potrzebowała odrobiny pocieszenia. Uświadomiła sobie z ulgą, że z mieszkania nie dobiega żaden odgłos.

Dzięki Bogu, nie zrobi z siebie zupełnej idiotki!

Wsunęła zdjęcie do skrzynki na wierzch stosu poczty i odetchnęła głęboko. Uniosła kołnierz, wsunęła ręce w kieszenie i ruszyła z powrotem na mokry chodnik, na którym w niskiej temperaturze wieczoru zaczynała już zamarzać woda. Zdążyła zrobić kilka kroków, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi i ktoś wołają po imieniu.

- Kaąty? - Ton głosu świadczył, że Connor nie jest pewien, czy może wierzyć własnym oczom.

Odrzuciła się natychmiast. Miała nadzieję, że na jej twarzy nie maluje się poczucie winy.

- Myślałam, że nie *ma cię w domu*.

- Rozmawiałem przez telefon.

- Przepraszam - powiedziała. Uświadomiła sobie, jak bezsensownie to zabrzmiało i dodała: -To znaczy przepraszam, że przerwałam ci rozmowę.

- Nie była ważna.

Ponieważ wydawało się to czymś naturalnym i oczekiwanym, Katy postąpiła krok czy dwa w stronę drzwi. Deszcz padał mocniej niż poprzednio i był tak gęsty, że musiała wyteżać wzrok, by zobaczyć Connora. Mimo to dostrzegła, lub wyobraziła sobie, że dostrzega zdziwiony wyraz jego twarzy.

- Ja... wpadłam tylko, żeby zostawić ci zdjęcie.

Pomyślałam, że będzie szybciej, jeśli sama je dostarczę. Błagam, modliła się w duchu, nie mów mi tylko, jak naiwnie to brzmi.

Nie powiedział. Właściwie nic nie mówił i dlatego ona musiała się odezwać. I nagle zrozumiała, że Connor właśnie na to czeka.



- Włożyłam je do skrzynki.

Pochylił się, uniósł wieczko, wyjął kopertę i resztę poczty.

Katy zauważyła, że stara się nie stawać na mokrym od deszczu ganku. Dziesięć do jednego, że miał na nogach tylko skarpetki. Kiedy wracał do domu, zawsze najpierw zdejmował buty. Żałowała, że nie istnieje pigułka, po której zapomina się takie osobiste szczegóły szesnastu lat małżeństwa.

- Dzięki - rzucił i dodał, ponieważ, jak sam siebie zapewniał, tego wymagała uprzejmość: - Wejdź.

- Nie, nie mogę. Wpadłam tylko, żeby zostawić zdjęcie.

Krople deszczu niczym pociski z ogłuszającą siłą padały na ziemię, chodnik i Katy. Uderzenia były bolesne, więc owinęła się szczelniej płaszczem.

- Wejdź - powtórzył Connor i odsunął się od drzwi. Katy wciąż się wahała.

- Przynajmniej, dopóki nie przestanie padać. Sam nie rozumiał, czemu nalega. Czy naprawdę chce, by weszła do jego mieszkania? To jedno z nielicznych miejsc nie nawiedzanych przez wspomnienia. Poza tym nie był pewien, czy nie woli zostać sam. Miał ciężki dzień, przede wszystkim dlatego, że starał się nie myśleć o Katy. I był zły, ponieważ przychodziło mu to z takim trudem.

- Nie mogę - powtórzyła i wtedy rozwarły się niebiosa.

Krople deszczu ze śniegiem niczym lodowe noże atakowały wszystko dookoła.

- Chodź - powiedział Connor. - Nie możesz stać w takiej ulewie.

Dlaczego to robię? zapytał sam siebie.

Dlaczego to robię? pytała siebie Katy, wchodząc do mieszkania, które setki razy próbowała sobie wyobrazić.

Mijając Connora zauważyła, że rzeczywiście ma na nogach tylko skarpetki. Miał także obcisłe, bardzo



seksowne džinsy i kolorowy, niebiesko-biało-lawendowy sweter. Był to świąteczny prezent sprzed kilku lat. Dziwnie się czuła, nie kupując w tym roku żadnego prezentu. Ale w tym roku całe jej życie było trochę dziwne.

Zamykając drzwi, Connor starał się nie zwracać uwagi na perfumy Katy. To był jedyny zapach, jakiego używała, słodki subtelny aromat, który sugerował i obiecywał. Stało się niemal rytuałem, że na każde święta kupował jej flakonik. Ale w tym roku nie będzie się przecież przejmował rytuałami.

Położył zdjęcie i pocztę na telewizorze. Potem odwrócił się do Katy. Oboje mogliby przysiąc, że ktoś jeszcze wszedł do pokoju: ktoś o imieniu zakłopotanie.

- Wiesz, naprawdę leje jak z cebra - powiedziała, nie wyjmując rąk z kieszeni.

-Tak. - Connor wsunął dłonie do tylnych kieszeni džinsów.

-Ale wieczorem się rozpozodzi, mam nadzieję.

- Ja też.

Zaległa cisza. Zakłopotanie krążyło po pokoju, szydząc ze swoich więźniów.

- Nie masz problemów z samochodem? - spytał Connor.

- Nie, wszystko w porządku.

- Wiesz, że zimą sprawia czasem kłopoty.

- Tak, wiem - odparła z lekkim uśmiechem. - Ale teraz jest na chodzie.

Znowu cisza.

- Zaparzyłem właśnie kawę. - Connor machnął ręką w stronę kuchni.

Czując się bardziej niż zakłopotana, Katy odpowiedziała takim tonem, jakby zaprosił ją właśnie na szaleńczą wyprawę po egzotyczną romantyczną przygodę.

-Nie! To znaczy, muszę już lecieć. Wpadłam tylko

na chwilę, żeby oddać zdjęcie. - Ile razy już to powiedziała? Na pewno za dużo.

Jej reakcja - to oczywiście, że żałowała, iż weszła do środka, może nawet że w ogóle przyjechała - rozzłościła i tak zdenerwowanego Connora. A także fakt, że miał już dość usprawiedliwiania się tym idiotycznym zdjęciem.

- Nie sądzę, by filiżanka kawy naruszała separację. Nie wolno nam tylko razem mieszkać i wskoczyć do łóżka. - I zanim Katy zdążyła zareagować na niezwykłą u niego szorstkość, dodał: - Nie martw się, dostaniesz swój rozwód. Poczula się tak, jakby uderzył ją w twarz. Czy to ten sam człowiek, który wczoraj pożyczył jej kurtkę? Ten sam, który tak uprzejmie rozmawiał przez telefon? Nie traciła czasu na odpowiedź. Pozwoliłaby ogarnął ją kojący gniew.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem. Nie chciałbym w żaden sposób zagrozić twojemu rozwodowi.

- Mojemu rozwodowi? Mówisz to tak, jakbym to tylko ja tego chciała.

- Ty złożyłaś pozew.

- A ty nie protestowałaś, prawda?

Aż do teraz nigdy się nie przyznawała, jak bardzo zabolą ją ten brak oporu z jego strony. Cóż jednak znaczy jeden ból wśród tak wielu...

- Nie, nie protestowałem - przyznał.

Katy wiedziała, że ta odpowiedź niczego nie zdradza.

Wiedziała także, że przyjeżdżając tutaj, a zwłaszcza wchodząc do mieszkania, popełniła straszliwy błąd.

Powiedziała to głośno, ruszając w stronę drzwi.

Widząc, jak odchodzi, Connor przeżył wstrząs. Poczul się nagle niczym największy cham roku. Zrozumiał przy tym jedną prostą, choć bolesną prawdę: nie chciał, żeby wyszła.



Chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Przepraszam. Nie powinienem tak mówić. Spojrzeli na siebie. Milczeli przez długą chwilę.

Widział jej cierpienie i ona widziała jego. I raz jeszcze próbowała odgadnąć, dlaczego zawsze sprawiali sobie ból. Nie, był taki czas, gdy sprawianie bólu nie pojawiała się nawet w ich myślach. Co wywołało zmianę?

Nagle, jakby nie mógł znieść fizycznego kontaktu, Connor puścił ją i wbił dłoń w kieszeń dzinsów. I równie nagle powiedział:

- I co z tą kawą?

Tym pytaniem rozbroił Katy. Uśmiechnęła się, zdziwiona własną reakcją.

- Nigdy nie umiałeś walczyć.

- Nie, chyba nie - odparł z uśmiechem. Spoważniał, gdy wszedł do kuchni. Może to była część problemu, pomyślał. Może gdyby został i walczył, gdyby stanął przeciwko niej, sprawy nie zaszłyby tak daleko. Z drugiej strony, do walki trzeba dwóch stron. A Katy zwykle nie zauważała nawet, że on jest w domu. Stłumił gniew, nie pozwalając mu przebić się na powierzchnię.

Samotna w salonie, Katy nie próbowała powstrzymać ciekawości. Rozglądając się, zrzuciła płaszcz i chustę. Zostanie tu przynajmniej na czas potrzebny do wypicia filiżanki kawy... Pokój był niewielki i funkcjonalnie umeblowany, pozbawiony kwiatów, ozdób i obrazów na ścianach. Odchodząc, Connor nie zabrał nic, prócz telewizora i rzeczy osobistych, więc Katy zastanawiała się, czy mieszkanie było umeblowane, czy on sam kupił niektóre sprzęty. Może je wynajął?

Rozejrzała się za zdjęciem ich syna. Nie była zaskoczona, że go nie znalazła. Zaraz po śmierci Patricka Connor usunął z portfela wszystkie fotografie. Ani wtedy, ani teraz nie wiedziała, co z nimi



zrobił. Była za to pewna, że zupełnie nie rozumie jego motywów. Ten uczynek zabolął ją głęboko. Jak mógł tak łatwo odrzucić wszelkie pamiątki, gdy dla niej były one jedyną rzeczą, która wtedy, i może jeszcze teraz, trzymała ją przy życiu?

Stojąc w drzwiach kuchni, z dwoma kubkami kawy w rękach, Connor obserwował Katy. Wydawała się tak niezwykle pełna życia, aż zapierało dech w piersiach. W czerwonym swetrze i czarnych wełnianych spodniach, była niemal dokładnie taka sama jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Trudno uwierzyć, że ma już trzydzieści cztery lata, tylko dwa mniej od niego. Po wszystkim, co przeszła, zachowała energię i wigor, niby Alicja w Krainie Czarów. W przeciwieństwie do niej, on czuł się staro. Nie, jeszcze starzej.

Katy uniosła głowę i dostrzegła go w drzwiach. Pomyślała, że jest zmęczony i wyczerpany. Jakąś częścią umysłu pragnęła go pocieszyć; inna przypominała, że to już nie jej sprawa.

Czując się jak przyłapany na gorącym uczynku, Connor wszedł do pokoju i podał jej kubek. Wzięła ostrożnie, by nie zetknęły się ich dłonie.

- Ładne mieszkanie - zauważyła, naginając nieco prawdę i nie wspominając o braku fotografii Patricka. Rok temu strasznie się o to pokłócili, a nie miała ochoty na kolejne kłótnie.

- Jest małe, ale... wygodne. - Chciał powiedzieć, że to mieszkanie jest jego domem, ale przecież to nie była prawda. Dom to było miejsce, które dzielił z Katy... z Katy i ich synem.

Katy wypła łyk kawy.

Connor wypił łyk swojej.

Zakłopotanie wróciło.

- Siadaj - powiedział nagle.



Katy przysiadła na brzegu sofy.

- Nagrałaś wywiady? - spytał.

- Tak - odparła, zachwycona tym obojętnym tematem.

- Puszczą dziś wieczorem, a potem powtórzą kilka razy.

- To dobrze. Napiszę parę artykułów. Przy każdym opublikujemy zdjęcie.

- Świetnie. - Czy on również sądzi, że ta rozmowa kuleje?

Po co tu przyszła, zastanawiała się po raz dziesiąty. W odpowiedzi pojawił się obraz małego chłopca, który nie reagował na jej obecność. Znowu poczuła się załamana i bezradna.

- Przyjechałam prosto z izby dziecka. Nie musiał pytać, po co tam była.

- I co?

- Nawet nie wiedział, że *przyszłam*. Nie zauważył mnie. Ani razu na mnie nie spojrzął.

Widział, że cierpi, i pragnął ją pocieszyć. Ale choć ryzykował, że ją urazi, musiał to powiedzieć:

- Nie zdołasz ocalić świata, Katy. Nie naprawisz wszystkiego, co się zepsuło. Nie uzdrowisz każdego, kto jest chory.

Nie była pewna, czy spodziewała się takiej odpowiedzi.

Zaskoczyła ją. Zwłaszcza że zabrzmiała jak przygana.

- Czy to oskarżenie? - spytała.

- Tylko stwierdzenie.

- Nie próbowałam leczyć Patricka. Lekarze od samego początku mówili wyraźnie, że nie da się go wyleczyć.

Starałam się tylko sprawić, by było mu dobrze.

Próbowałam go kochać. Na miłość boską, był moim synem!

- A ja byłem twoim mężem! Katy znów była zaskoczona.



- Co chcesz przez to powiedzieć?

Gniew Connora powrócił. Nie ufał sobie na tyle, by kontynuować ten temat. Głupio zrobił, że zaczął.

- Nic. Nic nie chciałem powiedzieć.

- Owszem, chciałeś. Zacząłeś, więc teraz skończ.

- Nie, to ty zaczęłaś i ty skończyłaś, już bardzo dawno.

Katy odstawiła kawę, wstała, chwyciła płaszcz i ruszyła do drzwi.

I tak jak poprzednio, Connor chwycił ją za ramię.

-Dlaczego przyszłaś? Oboje wiemy, że nie musiałaś przywozić tego cholernego zdjęcia.

- Masz rację. Nie musiałam i nie powinnam. A dlaczego tu jestem... Wierz mi, zadaję sobie to samo pytanie. Sądzę, że odpowiedź mieści się gdzieś w przedziale głupoty. -

Roześmiała się ponuro. - Miałam fatalny dzień. Chyba

myślałam... -Umilkła, nie tłumacząc dalej. Connora zainteresowało to nie wypowiedziane zdanie.

- Co myślałaś?

Nagle Katy poczuła zmęczenie, ogromne zmęczenie.

- Nic. Nic nie myślałam. Posłuchaj, czy jeszcze przez kilka tygodni moglibyśmy być dla siebie uprzejmi?

Connor puścił ją i przeczesał palcami włosy.

- Oczywiście, Katy, możemy być uprzejmi przez kilka tygodni. A potem ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją. Tego właśnie chcesz, prawda? Usunąć mnie ze swego życia.

- To przecież ty mnie zostawiłaś - zarzuciła mu. - To ciebie nigdy nie było.

- Nawet kiedy umierał Patrick.

- Nawet kiedy umierał Patrick - powtórzyła. Connor zaśmiał się sucho.



- Wiesz, co mnie najbardziej zadziwia? - Zanim Katy zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej: - Że w ogóle zauważyłaś, że mnie tam nie było.

Ta uwaga zaszokowała ją.

Zawarty w niej ból zaszokował jeszcze bardziej.

Tak bardzo, że wyszła bez słowa.



ROZDZIAŁ TRZECI

Przez całą drogę do domu Katy myślała o słowach Connora. Dręczyły ją przy skromnej kolacji, pod prysznicem i w łóżku, gdy rzucała się i przewracała, nie mogąc zasnąć. Choć uboga, ich konwersacja była jedną z nielicznych, jakie prowadzili od czasu separacji i dopiero teraz zostało powiedziane coś istotnego. Wydawało się dziwne, że dwoje ludzi może rozwieść się w milczeniu i po tylu latach małżeństwa pójść różnymi drogami.

Przypominała sobie jednak, że oboje byli emocjonalnie wyczerpani, a czynniki prowadzące do separacji nie pojawiły się w ciągu jednej nocy. Poza tym częścią problemu był fakt, że przestali się porozumiewać. Nie, Katy nie była zaskoczona, że oboje, zmęczeni i zranieni, po prostu przecięli łączące ich więzy i odeszli od siebie.

Connor rozumiał, jak bardzo zaboląła jego nieobecność przy łożu śmierci syna, myślała Katy, przewracając się w pościeli. Lecz zaskoczyła ją sarkastyczna uwaga, jaką wypowiedział. Bo przecież była sarkastyczna. Co chciał przez nią wyrazić? I czy to, co dostrzegła w jego oczach, naprawdę było cierpieniem?

Kiedy noc nie podsuwała odpowiedzi, Katy westchnęła, odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. Nie przyzwyczaiła się i pewnie nigdy się nie przyzwyczai do długich niespokojnych nocy, gdy nikt nie mógł jej pocieszyć. Dawno temu Connor sprawiał, że te ciężkie chwile wydawały się łatwiejsze. Dawno temu zabijał



nocne smoki, używając tylko swych ramion, warg i czułych słów. A teraz noce wydawały się nieskończone, ciemne i lodowate.

Zadrzała. Sięgnęła po szlafrok, który położyła w nogach łóżka. Zamiast na lekką tkaninę, trafiła palcami na miękką znoszoną skórę. Jak alfabet Braille'a Katy odczytywała wspomnienia zapisane w kurtce Connora. Nie zastanawiając się, czy to rozsądne, chwyciła ją i wsunęła ręce w rękawy. Kurtka objęła ją jak stary przyjaciel.

Podoba ci się? wspomniała własne słowa w tamten świąteczny poranek, kiedy Connor odwinął prezent.

Uwielbiam ją. I ciebie uwielbiam.

I zaraz potem nadeszło inne, bardziej wyraziste wspomnienie.

/ co, pilocie, podoba ci się moja kurtka?

Nawet teraz pamiętała., jak miękka, podszewka pieściła jej nagie piersi. Pamiętała sztywny brzóg, opinający nagie biodra, i jak oddech stawał się szybszy i nieregularny na widok pożądania płonącego w oczach męża. Zamknęła oczy, wtuliła się w kurtkę i po prostu wspominała.

Najdokładniej pamiętała, że Connor nigdy nie odpowiedział na pytanie, czy jemu, pilotowi z kobiecych fantazji, podoba się jej kurtka. Przynajmniej nie w słowach. Zamiast tego w milczeniu przeszedł przez pokój, ten sam pokój, w którym teraz siedziała sama, i z rozkoszną powolnością wsunął dłonie pomiędzy poły kurtki, pogładził piersi, a wargami zdobył jej usta. Całował ją tak, jakby do tego właśnie został stworzony, a ona została stworzona tylko po to, by przyjmować ten pocałunek. Dotykał jej wszędzie, gdzie mężczyzna może dotykać kobiety, a kiedy myślała, że za chwilę zemdleje z ekstazy, wziął ją na ręce i zaniósł do tego łóżka.



Będę wyczyniał z tobą różne dzikie i nieprzyzwoite rzeczy, szepnął jej do ucha. Takie, jakie wyczyniają piloci.

Katy nie była pewna, czy to, co robił, miało jakikolwiek związek z pilotami, ale z całą pewnością było dzikie i nieprzyzwoite. Nawet po tylu latach, po tylu łzach, pamiętała tę noc miłości, pamiętała tak wyraźnie, jakby zdarzyła się wczoraj.

Ciało zareagowało na to wspomnienie i Katy mocniej owinęła się kurtką. Po co poszła dzisiaj do niego? Ponieważ rozpaczliwie potrzebowała pocieszenia. Rozpaczliwie potrzebowałyby raz jeszcze zabił smoki. Przyznała to otwarcie. Tak jak przyzna coś innego. Mimo wszystkiego, co między nimi zaszło, mimo rozwodu, który niedługo zostanie orzeczony, wiedziała, że gdyby Connor tu był i uwodzicielsko groził, że zrobi jej coś dzikiego i nieprzyzwoitego, pozwoliłaby mu na to. Nie potrafiłaby go powstrzymać. A co gorsza, nie potrafiłaby powstrzymać siebie.

Muszę przestać, myślał Connor, leżąc z otwartymi oczami. Musiał przestać przypominać sobie ten wieczór, rozpatrywać każde słowo, które wtedy padło. Do licha, przecież musi się przespać! Silnym podwójnym ciosem nastroszył poduszkę, a potem znowu ułożył głowę. W podobny sposób chciałby uspokoić swoje myśli. Te jednak nie zamierzały się oddalić.

Przed zamkniętymi oczami pojawił się obraz Katy. Widział ją stojącą na deszczu, okrytą płaszczem i chustą. Słyszał, jak powtarza, że wpadła tylko na chwilę. Pamiętał, że zastanawiał się, jaki jest prawdziwy powód tej wizyty. Podjął jednak jej grę i udawał, że wierzy w każde słowo. Rozgniewało go, że nie chciała wypić z nim filiżanki kawy. Boże Święty, zupełnie jakby jej zaproponował



wspólne pójście do łóżka! Tak samo jak ona chciał już dostać ten rozwód. Zresztą pójście z nią do łóżka było ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mu do głowy.

Kłamca, odpowiedziało jego ciało. Pamiętał, jak kusząco przylegał sweter do jej piersi, jak ponętne wyglądały w spodniach szczupłe pośladki. Pamiętał figlarnie rozwichrzone włosy. Dobra, McKellen, trudno się pozbyć starych przyzwyczajień. Zmarszczył w ciemnościach brwi. Chyba naprawdę była zaskoczona jego ostatnią uwagą. Czyżby nie wiedziała, że usuwa go ze swego życia? Musiała to wiedzieć, prawda? Oczywiście, że wiedziała. Tak jak oboje wiedzieli, że mogła wysłać zdjęcie. Więc dlaczego przyjechała? Connor po raz setny przypominał sobie wszystko, co powiedziała... i wszystko, czego nie powiedziała.

Miałam paskudny dzień. Myślałam chyba...

Co myślałaś?

Nic. Nic nie myślałam.

Może miała rację. Może nic nie myślała. Może po prostu reagowała, tak jak przed chwilą jego ciało. Miała fatalny dzień i może zadziałał instynkt, przyzwyczajenie, czy cokolwiek innego. Szukała go, tak jak przy innych okazjach, jak małżonkowie szukają swoich partnerów, by naprawili to, co poszło źle. Myśl, że tak właśnie mogła postąpić, budziła w nim zadowolenie. Póki nie uświadomił sobie, że nie powinna. Nie byli małżeństwem, a w każdym razie wkrótce już nie będą. A mimo to... mimo to był zadowolony. A jego ciało, nie ma co ukrywać, wciąż jej pragnęło.

Tak, trudno się pozbyć starych przyzwyczajień.

Katy zasnęła; takie są skutki, gdy się zasypia piętnaście po czwartej. Przełknęła szklankę soku pomarańczowego i grzankę z masłem. Do



MILCZENIE ANIOŁÓW

czarnego swetra nałożyła złote kolczyki i parę czarnych butów na obcasach. Wszystko to udało jej się wykonać, gdy przeglądała gazetę, szukając kolejnego artykułu o porzuconym dziecku. Na czwartej stronie znalazła streszczenie tego, co czytała wczoraj. Spodziewała się niemal, że zobaczy zdjęcie, ale rozumiała, że jeszcze za wcześnie. Connor w żaden sposób nie mógł przesłać go do druku.

Connor.

Śniła o nim: o tym, jak łagodnie mówił do ich syna, jak nosił go na plecach i zabierał na spacer. Ale potem sen stał się niesamowity. Była na pogrzebie i zaglądała do małej białej trumienki. Lecz zamiast syna, w trumnie leżał Connor. Ksty przebudziła się zrana potem, mimo porannego chłodu. Już nie pierwszy raz dręczył ją ten koszmar. Nie wiedziała, co oznacza, choć była pewna, że Janna bez trudu przeprowadziłaby analizę. Powiedziałyby, że symbolizuje śmierć ich małżeństwa. Przez pozostałą część dnia Ksty usiłowała zapomnieć o tym śnie. Ale przyczepił się jak rzep do psiego ogona.

Miała dużo pracy, więc później niż planowała pojechała do izby dziecka, przygotowana na kolejne frustrujące spotkanie. Nie było praktycznie żadnych zmian. Chłopiec nadal siedział samotnie, zamknięty we własnym świecie. Katy dowiedziała się, że sypia marnie i często budzą go koszmary. Jednak oczy i siniaki wyglądały lepiej. Nadal każdy posiłek jadł tak, jakby miał być jego ostatnim. I wciąż nie odzywał się do nikogo ani słowem. Po godzinie, gdy spróbowała wszystkiego, by skłonić dziecko do reakcji, Katy miała ochotę krzyczeć.

Wstała z małego stołeczka i podeszła do okna. Szybko zapadała noc. W całym mieście zapalały się światła. Latarnie i lampki na choinkach... Może powinna wziąć dyżur na święta... Janna i John błagali,



by pojechała z nimi do rodziców Johna niedaleko Kannapolis, ale Katy uprzejmie odmówiła. Spędzić taki dzień z kimś, kto oczekuje, że będzie wesola i radosna, to jeszcze gorzej, niż spędzić go samotnie. Jak spędzi ten dzień Connor? I z kim? Wytłumaczyła sobie szybko, że nie powinno jej to obchodzić. Tak jak to dziecko. Ono było tylko sprawą zawodową, a jednak nie potrafiła się od niego oderwać. Odwróciła się. Chłopiec wciąż siedział przy stoliku i patrzył na światy, których Katy nie mogła widzieć.

Westchnęła, podeszła do niego i uklękła.

- Pa, kochanie - powiedziała, gładząc grzbietem dłoni policzek dziecka. - Niedługo znów do ciebie przyjdę. Tak jak oczekiwała, chłopiec nie zwrócił na nią Uwagi. Ta krańcowa obojętność była kroplą, która przepelniła czarę. Katy wstała i westchnęła głęboko. Chwyciła płaszcz i torebkę, pomachała pracownikom i ruszyła do drzwi. Coś pociągnęło ją za sweter.

Katy odwróciła się, sądząc, że zaczepiła o stół albo krzesło. Wszystkie meble w pokoju nosiły ślady dziecięcych zabaw. Dostrzegła jednak dłoń, małą dłoń, ściskającą mocno skraj wełny.

Część umysłu Katy nie potrafiła uwierzyć w to, co widzi. Inna nie śmiała w to wierzyć. Z mocno bijącym sercem, Katy odwróciła się, odłożyła płaszcz i torebkę, teraz jeszcze uklękła przy chłopcu. Nadal trzymał ją mocno, z rodzajem rozpaczliwej potrzeby, wciąż jednak nie podnosił głowy. Jak gdyby bał się, że utraci ją, jeśli tylko na nią spojrzy. Katy uniosła palcem jego brodę, aż musiał spojrzeć jej w oczy.

-O co chodzi, skarbie? - zapytała. -Chciałeś czegoś? Miała nadzieję, że odpowie, ale nie. Uznała, że albo



nie wie, czego chce, albo boi się wypowiedzieć własne pragnienia.

- Mogę cię pokołysać?

Nie odpowiadał, lecz wciąż mocno ścisnął sweter Katy. Wzięła go na ręce i ruszyła w stronę fotela na biegunach. Chłopiec nie stawiał oporu i nie wypuszczał tkaniny. Usiadła.

- Znam bajkę o czerwono nosym reniferze - powiedziała. - Czy wiesz, czemu właśnie renifery ciągną sanie Świętego Mikołaja?

Nie odpowiadał, ale patrzył jej prosto w oczy.

- Był kiedyś renifer imieniem Rudolph...

Mówiła cicho. Delikatnie kołysząc dziecko, powtarzała znaną świąteczną bajkę. Jedna z pracownic przyniosła koc i okryła nim chłopca. Zaniepokoiło go to.

- Wszystko w porządku, skarbie - uspokoila go Katy. - To tylko Nan. Nie chce, żebyś zmarł.

Długo przed końcem bajki dwie ciężkie powieki opadły powoli. Sen objął zmęczone ciało. Lecz chłopiec wciąż nie wypuszczał brzegu swetra. W końcu mała piątka otworzyła się i opadła na kolana Katy. Zauważyła lekkie otarcia nadgarstka. Zastanawiała się, czy były dziełem rozniewanej ręki, czy ktoś wiązał malca niczym zwierzę. Znow ogarnął ją gniew, który jednak nie mógł się równać z innymi pozytywnymi emocjami, jakie odczuwała. Dziecko jej zaufało, nawiązało z nią kontakt i usnęło w jej ramionach.

Delikatnie pogładziła małą twarzyczkę.

Później, w drodze do domu, uświadomiła sobie, że ostatniej nocy pragnęła być z kimś, kto by ją pocieszył. Dzisiaj chciała podzielić się z kimś radością. Zabawne, ale wczoraj i dziś chodziło o tę samą osobę.



-Pytał o ciebie - oznajmiła nazajutrz Ruth Roberts.

Był chłodny sobotni dzień, a mróz szczypał w nos i zaczerwienione policzki. Katy powiedziała sobie, że dziś nie pójdzie odwiedzić chłopca. Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie. Od chwili gdy zobaczyła zdjęcie w gazecie, była na przegranej pozycji. Jak najszybciej załatwiła swoje sprawy i ruszyła do jedyne miejsce, gdzie naprawdę chciała się znaleźć. I została nagrodzona najpiękniejszą wiadomością.

- Mówisz serio? - zwróciła się do uśmiechniętej kobiety.

-Absolutnie. Niespodziewanie zapytał, gdzie jest ta pani, która zna czerwono nogiego renifera.

- Czerwono nogiego? - Katy uśmiechnęła się.

- No dobra, trochę się pomylił. Ale nie pomylił się co do ciebie. Wiedział, że cię tu nie ma.

Katy ogarnęło słodkie *uczucie*. *Postęp jest niewielki*, ale zawsze to postęp. Szczerze mówiąc, Katy nie liczyła nawet na to. Gdy weszła na salę, chłopiec siedział przy stole i bawił się rozrzuconymi na blacie zabawkami.

Dostrzegł Katy i oświadczył, jakby mówienie było w jego przypadku rzeczą najnaturalniejszą na świecie:

- Znalazłem czerwono nogiego renifera.

Potem zeskoczył z krzesła, podbiegł do choinki i wskazał ozdobę w kształcie renifera.

Katy, ubrana w dzinsy i luźny sweter z surowej wełny, przykucnęła obok z uśmiechem.

- Sam go znalazłeś? Chłopiec kiwnął głową.

-Mądry jesteś - stwierdziła i dodała: -Ale popatrz, skarbie, Rudolph ma czerwony nos, a nie czerwone nogi. -

Wskazała szkarłatny nos plastikowej ozdoby.

Chłopiec nie zmartwił się tą pomyłką. Dotknął

reniferowego nosa i poprosił o powtórzenie bajki.



Katy spełniła prośbę, zastanawiając się, czy jest to samo dziecko, które widziała już trzykrotnie. Zadawał pytania, całe dziesiątki pytań. Dlaczego inne renifery były dla Rudolpha niedobre? Czy renifery naprawdę umieją latać? Co renifery jedzą?

Katy zastanawiała się przez chwilę nad ostatnią kwestią.

- Chyba liście - stwierdziła w końcu.

- Takie jak te? - spytał chłopiec, wskazując zawieszoną nad drzwiami zieloną kulę.

- Nie, głuptasie - roześmiała się. - To jemiola. - Wyjaśniła tradycję jemioli, kończąc zdaniem: - Jeśli staniemy pod jemiolą, mogą cię uścisnąć i pocałować?

I natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Jej mały przyjaciel znów zaczął kryć się w swej skorupie.

Zdenerwowana, że zanadto go popędza, szybko zmieniła temat. W końcu urwali liście jemioli i nakarmili plastikowego renifera.

Gdy dzieci zawołano na kolację, Katy nie mogła uwierzyć, że tak szybko minęło popołudnie. Poinformowała, że musi już iść, i czekała na reakcję chłopca. Nie było żadnej, co nieco ją rozczarowało, choć przypuszczała, że mały już dawno nauczył się skrywać swoje uczucia. Wyszła ze zwykłym do widzenia i obietnicą, że wróci znowu.

Gdy na podjeździe szukała w torebce kluczyków, usłyszała nieco rozwklekłe:

- Cześć.

Obróciła się w miejscu, od razu rozpoznając głos. Serce zabiło szybciej, zanim jeszcze zobaczyła Connora.

- Przypuszczałem, że znajdę cię tutaj - powiedział, a kiedy milczała, patrząc tylko w jego jasnobłękitne oczy, dodał: - Dzwoniłem do domu, ale cię nie zastałem.



-Ja... wpadłam, żeby go zobaczyć.

- Co z nim?

- Lepiej. Wczoraj pozwolił się kołysać, a dzisiaj nawet ze mną rozmawiał.

- To dobrze.

Katy widziała, że Connor jest szczerze zadowolony. Ale w końcu Connor McKellen był dobrym człowiekiem.

Cokolwiek ich różniło, w czymkolwiek siebie zawiedli, był jednak miłym porządnym człowiekiem.

- Byłem tu wczoraj, ale już spał.

- Byłeś tu wczoraj? -Katy odrzuciła z czoła kosmyk włosów.

- Tak. Zaglądałem parę razy.

- Nikt mi o tym nie mówili - stwierdziła, dodając szybko: - Zresztą nie mieli obowiązku. To znaczy, to właściwie nie moja sprawa. Jeśli masz ochotę przychodzić, proszę bardzo. Wiedziała, że zabrzmiało to mało inteligentnie, nie mówiąc już o tym, że tak się też czuła. Więc umilkła w nadziei, że Connor skieruje rozmowę na inne tory. Na szczęście to zrobił.

- Kupiłem mu dres - oznajmił.

- Ten czerwony?

-Tak.

- Śliczny.

Connor wzruszył ramionami.

- Pomyślałem., że przyda mu się parę rzeczy bez dziur.

Katy zastanowiła się, czemu nie przyszło jej do głowy, by przynieść chłopcu jakieś ubrania Patricka. Zachowała przecież wszystko. Ale uznała, że ubrania zmarłego synka były jakby świętością. To głupie, wiedziała o tym, i pewnie nie najzdrowsze dla jej stanu ducha, ale tak było.

-I jak na ciebie zareagował?



- Nie za dobrze. Za pierwszym razem próbowałem do niego podejść, ale wpadł w panikę.

- Trochę potrwa, zanim nauczy się ufać ludziom.

- To prawda. Słuchaj, zastanawiałem się, czy mógłbym wpaść dziś wieczorem do ciebie i zabrać kurtkę.

Oczywiście, jeśli nie masz żadnych planów, czy coś takiego.

Myśl o rozstaniu z kurtką wywołała całą gamę mieszanych uczuć.

- Nie. To znaczy nie mam żadnych planów. Jadę do domu.

- Świetnie. Zostawię tu tylko paczkę. Dostrzegła, że trzyma niewielką torbę. Connor

uśmiechnął się lekko, wzbudzając w Katy dreszcz pożądania.

- To piżama w Wojownicze Żółwie Ninja.

- Niezbędna każdemu chłopcu. - Uśmiechnęła się.

Spoważniali, uświadamiając sobie, że ich syn też miał taką.

- Tylko to oddam. Może pojedziesz? Będę w domu za chwilę.

W domu... Katy zauważyła, że mówi tak, jakby nadal mieszkali razem, jakby wyszedł dziś rano do pracy i miał niedługo wrócić. Myśl, że wkrótce znajdą się pod jednym dachem, niezwykle wpływała na stan jej uczuć. Uczuć, które w tej sytuacji były z pewnością niewłaściwe. Uczuć, których nie potrafiła rozsądnie wytłumaczyć.

- Dobrze - rzuciła wiedząc, że oczekuje jakiejś reakcji. - Zobaczmy się za chwilę.

W drodze do drzwi, Connor obejrzał się jeszcze.

- Jesteś pewna, że mogę do ciebie zajrzeć? - zawołał.

- Tak, jestem pewna.

Była bardziej niż pewna. Była przekonana. Im szybciej pozbędzie się tej kurtki, tym lepiej. Od chwili



gdy wsunęła ręce w rękawy, stała się niewolnicą wspomnień, przed którymi nie było ucieczki. Tak, to kurtka, tylko kurtka, była odpowiedzialna za jej nastrój. Nie może być innych powodów.

Z trudem się powstrzymałaby zaraz po wejściu nie przyczesać włosów i nie spryskać się perfumami. Obie te rzeczy były ponad wszelkie wyobrażenie głupie. Czemu ma się przejmować swoim wyglądem albo zapachem? Na miłość boską, Connor przyjdzie tylko po kurtkę. Przyszło jej do głowy, że może on ma jakieś plany na wieczór. Może chciał wyjść z kolegami, swoimi samotnymi kolegami i robić to, co samotni faceci robią w sobotnie noce?

Czy Connor z kimś się spotykał?

Pytanie wyplłynęło znikąd. Wyrok jeszcze nie zapadł, lecz do rozwodu pozostało najwyżej kilka tygodni. Jakiś dyskretny romans nie byłby w tej sytuacji niczym niezwykłym. A jeśli Connor nikogo jeszcze nie ma, to na pewno wkrótce znajdzie. Czy w przyszłości jakaś inna kobieta będzie nosiła skórzaną kurtkę? Czy będzie szeptała jej do ucha jakieś dzikie i nieprzyzwoite groźby, a potem zanieśie do łóżka, by je zrealizować?

Posępne, bolesne uczucie eksplodowało w umyśle Katy. Nie próbowała się okłamywać co do jego charakteru. To była zazdrość. Nie mogła znieść myśli o Connorze z inną kobietą. Chyba wciąż jeszcze wierzyła, że należy do niej, choć wiedziała, że wnosząc pozew, zrzekła się praw własności. Na tym przecież polega rozwód. Dwoje ludzi odchodzi własnymi drogami, rozpoczyna nowe życie i odnajduje nową miłość. A jednak myśl o nim, jak odchodzi swoją drogą i znajduje nową miłość, rodziła ból. Po prostu oddaj tę kurtkę, McKellen!

Piętnaście minut później Connor zahamował na



znajomym podjeździe. Kupiony tuż po ślubie, piętrowy dom z czerwonej cegły wyglądał tak, jak go zapamiętał. Connor poczuł, że ogarnia go niezrozumiała irytacja. Jak ten dom, z zielonymi okiennicami i trzeszczącą huśtawką na werandzie, śmiał wyglądać tak samo, gdy wszystko inne w ich życiu uległo zmianie? Zastanawiał się, czy kominek nadal trzeszczy nocami, czy popsuła się maszynka do lodu i czy sąsiedzi go wspominają. I myślał, dlaczego przyjechał po kurtkę, skoro naprawdę jej nie potrzebował. A przy okazji zastanawiał się, czemu, do diabła, siedzi w samochodzie i traci czas na bezużyteczne myśli!

Otworzył drzwi i ruszył w stronę domu. Stał pod dachem cedrowej werandy i przycisnął dzwonek, co wydało mu się absolutnie śmieszne, tysiące razy po prostu wkładał klucz do zamka i wchodził. Ale to nie był już ich dom. Ani jego. Należał tylko do Katy. Zadzwoił jeszcze raz i wsunął dłonie do tylnych kieszeni džinsów. A potem czekał. Nerwowo.

Choć tego oczekiwał, był zaskoczony, gdy drzwi się otworzyły. A może po prostu zaskoczył go widok Katy: atrakcyjnie rozwichrzone złociste włosy i džinsy dostatecznie obcisłe, by przyciągnąć męską uwagę.

Wyglądała dokładnie tak, jak tyle razy, gdy wracał wieczorem do domu. Była seksowna. Oszłamiająco seksowna. A on jej pragnął. Nie chciał tego, ale pragnął.

- Cześć - powiedziała, odsuwając się na bok.

- Cześć - odparł, wchodząc ostrożnie. Pozostał blisko drzwi, jakby tu czuł się bezpiecznie.

Jakby przewidywał konieczność szybkiej ucieczki.

- Może usiądziesz? - Skinęła ręką. Zdaniem Connora, wyglądała równie niepewnie jak on.

- Nie! - odparł ostro, po czym powtórzył spokojniejszym tonem: - Nie. Wezmę tylko kurtkę i znikam.



Podeszła do sofy i wzięła kurtkę. W jego umyśle pojawił się obraz Katy, nagiej, okrytej tylko tym. Ciemna skóra kontrastowała zmysłowo z jej satynowym ciałem.

Przypomniawszy sobie słowa, dzikie i nieprzyzwoite.

I co, pilocie, podoba ci się moja kurtka?

Podobał mu się dotyk Katy, gdy namawiała go do rzeczy, do których nie musiała namawiać. Rzeczy, w których była ekspertem, takich jak przypominanie mu, że jest mężczyzną, a ona kobietą. Czuł niemal, jak dłonie wypełniają mu miękkie piersi, jak biodra naciskają na jego biodra kusząc... prosząc...

Jęknął bezgłośnie.

- Dzięki - rzucił, biorąc kurtkę.

- To ja dziękuję, że mi ją pożyczyłeś.

- Drobiazg. - Szybko, zdecydowanie ruszył do

To dziwne, ale dzwonek jakby zatrzymał czas, jakby żadne z nich nie wiedziało, co zrobić. Connor stanął. Katy zahała się.

- Odbiorę - powiedziała wreszcie. - To pewnie Janna. -

Zrobiła jeden krok. - Powiem, żeby zadzwoniła później.

Stojąc przy drzwiach, Connor uświadomił sobie, że Katy nie zostawiła mu wyboru. Czekał więc. Zaczął się

rozglądać. Wnętrze domu było drażniąco znajome. Sofa w brzoskwińowo-oliwkowe pasy, gdzie dziesiątki razy zasypiał oglądając telewizję, zbyt miękki fotel, który dostali w prezencie od Mikołaja, i stolik do kawy, który kupili na wyprzedży i sami odnowili. Connor przyjrzał się uważnie, szukając zadrapania na prawej nodze. Zadrapania od wózka Patricka. Wciąż tam było. A na stoliku stała oprawiona w ramki fotografia ich syna. Zamarło mu serce.

Chciał podejść i przyjrzeć się zdjęciu z bliska, ale nie



potrafił. Nie mógł. To zbyt bolesne. Odwrócił wzrok i wtedy zobaczył inne fotografie. Tam jedna, tutaj trzy, mała kolekcja zawieszona nad kominkiem. Prócz tej na stoliku, żadnej z nich nie było, gdy tu mieszkał. Pojawiły się po śmierci syna.

I nagle ściany pokoju zaczęły go przytłaczać. Miał wrażenie, że dusi się wspomnieniami. Rozległymi bezdennymi wspomnieniami, które nie pozwalają nabrać tchu. Co gorsza, po raz pierwszy w życiu bał się, że zemdleje... naprawdę zemdleje.

- To Janna - oznajmił jakiś głos, zagłuszając dudnienie serca. Connor dostrzegł Katy i próbował skupić się na tym, co mówiła. -Kazała cię pozdrowić. -A kiedy nie odpowiadał, dodała jeszcze: -Dobrze się czujesz?
-Tak, świetnie - odparł, otworzył drzwi i potykając się, wyszedł na werandę. Odetchnął głęboko i powiedział: - Słuchaj, muszę już iść.

Nie czekał na odpowiedź.

Kilka minut później siedział już w samochodzie, opierając głowę o wsparte na kierownicy ramiona. Uświadomił sobie, że się nie pożegnał, i że Katy była zmieszana jego zachowaniem. Właściwie ta ucieczka zdziwiła i jego.

Wiedział tylko, że musi wyjść z tego domu.

Natychmiast.

Bezwłocznie.

Albo zemdleje.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Ranek wstał tak słoneczny, że blask raził oczy. Katy dotarła do alejki prowadzącej na cmentarz. Minęła czarne wrota z kutego żelaza i skręciła ostro w drogę wijącą się wśród nagich zimowych drzew i falującego morza nagrobków. Od śmierci syna odwiedzała to miejsce co niedziela, a czasem jeszcze raz czy dwa w tygodniu.

Myślała o chłopcu w izbie dziecka. Myślała o tym, *jak nieoczekiwanie w jej życiu znów pojawił się Connor...*

Myślała o wczorajszym wieczorze.

Zmarszczyła brwi. Connor zachowywał się dziwnie. Gdyby dom nagle stanął w ogniu, nie wyszedłby chyba bardziej pospiesznie. W pewnym sensie go rozumiała. Nie czuła się dobrze w jego mieszkaniu, więc może i on nie czuł się dobrze w domu, w którym kiedyś wspólnie mieszkali. Ale jego reakcja była zbyt gwałtowna, by wynikała z zakłopotania. Sprawiał wrażenie... szukała odpowiedniego słowa... jakby wpadł w panikę.

Dlaczego?

Wciąż rozważała ten problem, gdy dostrzegła przy krawężniku wóz Connora. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przez tyle miesięcy ani razu nie spotkała go na cmentarzu. Przypuszczała, że po prostu tu nie przyjeżdża, co dziwiło ją równie mocno, jak gniewało i raniło.

Z początku chciała przejechać obok i wrócić później. W ten sposób ona i Connor będą mogli pomodlić



się w samotności. Ale może zbyt dużo było tej samotności. Razem dali życie temu dziecku, więc może razem powinni opłakiwać jego śmierć. Zanim zdążyła zmienić zdanie, zahamowała, wysiadła i ruszyła w stronę stojącej nad grobem postaci.

Otulony w skórzaną kurtkę, Connor wsłuchiwał się w szepty ciszy. Lekki wietrzyk dmuchał przez nagie gałęzie samotnego wiązu, a spod stóp dobiegał cichy szelest suchej trawy, która odrodzi się wiosną, a latem zabłyśnie szmaragdową zielenią. Lecz jego syn się nie odrodzi i nie rozkwitnie. Jego syn nigdy naprawdę nie rozkwitł. Po prostu istniał. Connor odbierał to jak kpinę z poczucia sprawiedliwości. I kpinę z nadziei na ukojenie była obecność granitowych skrzydlatych aniołów strzegących grobu. Z początku wierzył, że mu pomogą. Czekał, aż poczuje coś, co złagodzi ból, co wyjaśni stratę. Czekalby anioły przemówiły do jego serca. A słyszał tylko ciszę i milczenie aniołów. Dlatego przestał przychodzić.

Więc skąd wziął się tu dzisiaj?

Nie umiał tego wyjaśnić. Podejrzewał tylko, że ma to związek z wczorajszym wieczorem. Dusił się wśród tych fotografii na ścianach. Przypuszczał, że doznał wtedy ataku lęku. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Jeśli jednak umknął przed wspomnieniami, dlaczego następnego dnia przyjechał na cmentarz., gdzie te wspomnienia były jeszcze bardziej żywe? Nie wiedział. Żal i rozpacz były sprawą złożoną i niewytłumaczalną. Spojrzał na skrzydlate anioły. Może przyszedł tu w nadziei, że w końcu odezwą się i wyjaśnią, co zaszło wczoraj.

- Cześć.

Przez jedną sekundę sądził, że przemówiły. Potem zwyciężył rozsądek. Obejrzał się, szukając źródła znajomego głosu.



- Przepraszam - powiedziała Katy. - Nie chciałam cię przestraszyć.

Ale wyraźnie go przestraszyła. Poza tym, nie potrafiła rozszyfrować jego reakcji. Czy cieszył się z jej widoku? Czy wolałby raczej, by mu nie przeszkadzała?

- Nie słyszałem cię - odezwał się po chwili, a jego twarz nie zdradzała niczego. Wydawał się zagubiony we własnym świecie, świecie, w którym i ona często bywała.

- Czasem jest tu taki spokój, że nie słyhać nic, prócz ciszy.

-Tak - przyznał Connor, myśląc o nieprzystępnych aniołach.

Katy mogłaby przysiąc, że usłyszała w jego głosie ton sarkazmu.

- Jak się czujesz? - spytała.

- W porządku - skłamał. - A co u ciebie?

- Doskonale.

Żadne z nich nie wiedziało, jak się zachować. Katy pochyliła się i położyła na grobie bukiet kwiatów. Ułożyła go między aniołami, przy napisie głoszącym, że dziecko tu pochowane nie umarło, lecz zasnęło w ramionach Boga. Podniosła kilka suchych liści, ale nie bardzo wiedziała, co z nimi zrobić. W końcu wepchnęła je do kieszeni płaszcza. Uświadomiła sobie bezsens tego gestu, więc uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Wiem, że inne spadną na ich miejsce - wyjaśniła. - Ale nie mogę się powstrzymać.

- Tak - mruknął Connor. - Przynajmniej dbają o porządek. - Miał na myśli pracowników cmentarza, którzy za niewielką miesięczną opłatą doglądali grobów.

- Ja... ja ich zwolniłam - wyznała Katy.

-Dlaczego? Zgodziliśmy się, że skorzystamy z oferty.



-Wiem, ale... no, przychodzę co tydzień, a przecież nie tak trudno zadbać tu o porządek.

- Dawno to robisz? - spytał zdumiony Connor.

- Od zeszłej wiosny.

Z niedowierzaniem pokręcił głową. Poczuł również, jak na nowo budzi się w nim gniew.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? Od zeszłej wiosny opiekujesz się grobem?

-I co z tego? -Katy również poczuła się zirytowana.

-To z tego, że nawet nie pomyślałaś, żeby spytać, co ja o tym sądzę. Nie... to z tego, że jak zawsze zdołałaś zatrzymać Patricka tylko dla siebie. Robiłaś to, kiedy jeszcze żył, i teraz robisz to samo.

- O czym ty mówisz? - Słowa Connora ukłuły ją boleśnie.

- Nie dopuszczałaś mnie do niego. Chciałaś wszystko robić sama. Musiałem walczyć, by wziąć go na rękę, podać leki, żeby otulić go na noc. Nawet teraz, po śmierci, zagarnęłaś go dla siebie.

- Przepraszam cię bardzo. - Katy była coraz bardziej rozgniewana. - Nigdy nie zagarniałam Patricka...

- Akurat, do diabła!

Te słowa zabolęły. Katy pozwoliłaby ból mocniej rozniecić gniew.

-Jeśli wyglądało na to, że zatrzymuję go dla siebie, to tylko dlatego, że nigdy nie było cię w pobliżu.

- A nie zastanawiałaś się, dlaczego mnie nie było?

Wyraźnie dawałaś mi do zrozumienia, że nie jestem potrzebny.

- To nieprawda. Zresztą gdybyś chciał odwiedzać grób Patricka, nie mogłabym ci przeszkodzić. Ale ty prawie nigdy nie przychodzisz.

- A skąd niby wiesz, jak często przychodzę na cmentarz?



- W ciągu prawie roku spotykam cię tu po raz pierwszy.
 - Czego to dowodzi poza tym, że zjawiamy się w różnych porach?
 - A kiedy ostatni raz tu byłeś?
- Connor czuł się, jak zapędzona w kąt mysz.
- Przychodzę, kiedy mogę. Zresztą codzienne wizyty byłyby nieco chorobliwe, nie sądzisz?
- Katy dostrzegła w tych słowach oskarżenie.
- Nie przychodzę tu codziennie.
 - A jak często przychodzisz? Raz w tygodniu? Dwa razy w tygodniu? Trzy razy?
 - Co za różnica?
 - O to właśnie mi chodzi. - Connor roześmiał się ponuro. - Właściwie nie wiem nawet, po co wychodzisz z domu. - A widząc, że nie rozumiała, dodał: - Zamieniłaś dom w kaplicę. Dlaczego tam się nie modlisz?
- Jeżeli poprzednie słowa Connora zabolowały ją, to ostatnia wypowiedź ugodziła w samo serce. Poczowała też niepokój, niepewna, o co właściwie mu chodzi.
- Co to znaczy „w kaplicę”?
 - Dokładnie to, co powiedziałem. Na miłość boską, skąd wzięłaś te wszystkie zdjęcia? Połowy nawet nie widziałem. Zdjęcia? Connor miał pretensję, że wiesza fotografie syna?
 - Przynajmniej nie próbowałam wymazać pamięci o nim - odparła, rozgniewana na nowo.
 - A ja próbowałam?
 - Usunąłeś go ze swego życia tak, jak usunąłeś z portfela jego fotografię.
 - To marny argument, Katy.
- Może marny, a może nie. Już o to nie dbała. Tama pękła i powódź uczuć, nad którymi tak długo próbo-



wała zapanować, wyrwała się na wolność. W głębi duszy pragnęła zranić tego mężczyznę tak mocno, jak on ją zranił. A równocześnie wiedziała, że posuwa się za daleko.

- Przejęłam się przynajmniej na tyle, by go opłakiwać. Słowa zadały śmiertelny cios, jednak w nią uderzyły równie mocno jak w Connora. Chciała je cofnąć, lecz uświadamiała sobie, że od dawna pragnęła je wypowiedzieć.

Connor wyglądał jak uderzony obuchem.

- On był także moim synem, Katy. Zdaje się, że o tym zapominasz.

Katy wyzywająco wysunęła brodę, jakby odbijając cios. Connor bez słowa ruszył do samochodu. Po chwili cisza otuliła Katy. Lecz nie była to ta sama, zwykła, uspokajająca cisza cmentarza. Tym razem była ciężka i niepokojąca. Katy poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. Łzy stanęły jej w oczach. Miała wrażenie, że granitowe anioły szlochają cicho.

Od spotkania na cmentarzu minęło kilka godzin, a Katy wciąż słyszała tę ciszę. Nie, coś gorszego. Słyszała bezlitosne pytania, zwłaszcza jedno. Czy rzeczywiście zmieniła dom w kaplicę?

Rozejrzawszy się, dostrzegła fotografie na ścianach, fotografie sfłoczone na niemal każdej płaskiej powierzchni. W wyobraźni widziała nietknięty pokój Patricka: wiszące w szafie ubrania, zabawki, którymi prawie się nie bawił, siedzącego w oczekiwaniu pluszowego misia.

Zamknęła oczy, czując gromadzące się pod powiekami łzy. Jej syn już nie wróci. Ubranka na zawsze będą tam wisieć, zabawki leżeć na półce, a pluszowy miś czekać



przez wieczność. A co ona zrobi? Też będzie czekać? Tak, jakaś część umysłu zawsze będzie czekała, lecz inna część musi żyć dalej. Taki jest los tych, którzy przeżyli. Może Connor ma rację. Może chorobliwie czepiała się wspomnień.

Czy naprawdę zbudowała wokół syna mur, przez który nawet Connor nie mógł przejść? Katy zmarszczyła brwi. Connor zarzucił jej, że nie pamiętała, iż Patrick był także jego synem. Czy rzeczywiście odepchnęła męża, a potem oskarżyła, że go ciągle nie ma?

Nie wiedziała. Naprawdę nie wiedziała.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer Connora, a potem odłożyła słuchawkę. Miał czy nie miał racji, był winny czy nie, po całym bólu, jaki przeżyła, nie miała mu już nic do powiedzenia.

Connor wpatrywał się w telefon. Po chwili podniósł słuchawkę i wybrał numer Katy. Rozłączył się, zanim zabrzmiał sygnał. Nie wiedział, co chciałby jej powiedzieć. Nie wiedział, co jeszcze zostało do powiedzenia.

Czy Katy miała rację? Czy naprawdę usunął Patricka ze swego życia? Czy tylko w ten sposób mógł przetrwać? Czy łatwiej było mu uciec, niż patrzeć na śmierć syna?

I dlaczego, na miłość boską, nie potrafił płakać? Czekał na te łzy, na ich oczyszczającą magię. Ale nie pojawiły się. Ani kiedy umarł syn, ani na pogrzebie, ani później.

Wiedział, że Katy tego nie pojmuje. Zresztą on też nie.

Wiedział tylko, że cierpienie sięga czasem głębiej niż łzy. Pomyślał o kilku zdjęciach wyjętych z portfela. Schował je do pudełka, które umieścił na samym dnie szafy. Wstał, ruszył w stronę szafy i zatrzymał się. W myślach pojawił się obraz jasnowłosego, błękitnookiego dziecka, obraz wyraźniejszy niż



jakiegokolwiek zdjęcie. Nie, nie potrafił spojrzeć na fotografię. Nie potrafił się zmusić do walki z cierpieniem. Tchórz!

Może.

Może właśnie dlatego nie odwiedzał cmentarza tak często, jak powinien. Ale na pewno nie mógł winić się za to, że nie zjawił się w domu, gdy umierał Patrick. Poruszył niebo i ziemię, by zdążyć. Katy nigdy się nie dowie, jak bardzo się starał.

Pomysł przyszedł Katy do głowy niecały tydzień później. Był tak doskonały, że nie pojmowała, dlaczego nie wpadła na to wcześniej. Może była zbyt zajęta innymi sprawami. Miała wyjątkowo dużo pracy, w dodatku natrafili na pewien trop, który mógł doprowadzić do odkrycia tożsamości dziecka, dziecka, które Katy *lubiła coraz bardziej*. *Niestety, okazał się fałszywy*. Zgodnie z obietnicą, informowała Connora o wszelkich wydarzeniach.

Connor.

Był jeszcze jednym powodem, dla którego ten znakomity pomysł rodził się powoli. Po prostu w myślach brakowało już miejsca na cokolwiek, prócz sceny z cmentarza i wspomnień o bólu, który zadała i który zniosła z takim trudem. Rozmawiali ze sobą oficjalnie i uprzejmie. Zbyt uprzejmie. Było jasne, że Connor nie gorzej od niej pamięta niedzielne popołudnie. Wyczuwała też, że chciałby wrócić do tej rozmowy, i może nawet przeprosić. Nie robił tego jednak. Może, jak ona, miał wrażenie, że tamta rozmowa była tylko czubkiem góry lodowej. Pomysł, który przyszedł Katy do głowy, był pierwszą przyjemną rzeczą, jaka zdarzyła się jej od kilku dni. Natychmiast zaczęła działać.

- Czy będę mogła zabrać NN na święta? - zapytała Katy Ruth Roberts.



Nazwali chłopca NN, od „nieznanego nazwiska”, ponieważ wciąż nie mieli pojęcia jak mu na imię. Rozmawiał wprawdzie, ale nie chciał się przedstawić. Psycholog, który się nim opiekował, twierdził, że to środek bezpieczeństwa. Zdradzić imię, to odsłonić się, a chłopiec nie był jeszcze gotów, by podjąć takie ryzyko.

- Myślałam, że zamierzasz w święta pracować.

- Będę, jeśli nie dostanę NN.

-Właściwie sędzę, że to świetny pomysł. -Kobieta uśmiechnęła się.

Ta rozmowa miała miejsce w piątek wieczorem. W sobotę rano Katy obudziła się w świątecznym nastroju, który jeszcze kilka tygodni, a nawet kilka dni temu uważała za niemożliwy. Pierwszym punktem planu był zakup choinki, wysokiej szkockiej sosny o ostrym czystym zapachu. Potem wizyta na strychu, gdzie znalazła pudła z ozdobami. Kolorowe lampki i dziesiątki migocących bombek, pasiaste cukierki i złocisto-biały anioł miały wkrótce ozdobić zielone gałązki. Umocowanie anioła na czubku choinki zawsze należało do Connora.

Raz jeszcze Katy zastanowiła się, gdzie i z kim Connor spędzi święta. I raz jeszcze powiedziała sobie, że to nie jej sprawa. Myśl o Connorze przypomniła jego zarzuty na temat domu. Katy usunęła kilka fotografii, pieczołowicie chowając je w cedrowej szafce przy łóżku.

Kiedy kupiła prezenty, ruszyła na poszukiwania jemiioły. Traciła już nadzieję, gdy dostrzegła krzaczek na drzewie u sąsiada. Z jego pomocą zerwała kilka gałązek, związała jaskrawoczerwoną kokardą i zawiesiła na prostym żyrandolu w salonie.

Od wieków nie spała tak dobrze, jak tej nocy. Tyle że wczesnym rankiem nawiedził ją sen. Jak zawsze,



zaglądała do niewielkiej trumny i widziała ciało Connora. Znów obudziła się zlaną potem. Rankiem szybko zapomniała o koszmarze; czekało ją mnóstwo pracy. Postanowiła przygotować tradycyjny świąteczny obiad. Kiedy wieczorem padła na łóżko, pozostało jej tylko czekać na święta.

Świąteczny ranek wstał zimny i czysty. Katy wstawiła indyka do pieca i ozdobiła orzechowe ciasto. Potem ruszyła do izby dziecka.

- Pytał, kiedy się zjawisz - poinformowała jedna z kobiet.

Niecierpliwość małego przyjaciela ucieszyła Katy.

Wspomniła, że jeszcze dwa tygodnie temu pragnęła tylko, by ten dzień skończył się jak najszybciej. Teraz, z powodu chłopca, oczekiwała go niecierpliwie.

Od chwili gdy weszli do domu, dzień nabrał czaru. Lampki na choince płonęły jaśniej niż wczoraj wieczorem, ogień na kominku był cieplejszy niż kiedykolwiek, prezenty błagałyby ktoś je otworzył. NN, którego oczy błyszczały na widok kolejnych zabawek, umilkł nagle, jakby przytłoczony wszystkim, co zobaczył. Katy zmusiła się, by utrzymać ilość prezentów w granicach rozsądku: tylko cztery i niezbyt drogie. Lecz i tak było to więcej, niż miał kiedykolwiek.

- Czyje jest to wszystko? - spytał, oszołomiony.

- Twoje - odparła Katy.

- A czyj jest pociąg?

Katy spojrzała na małą drewnianą lokomotywę i trzy wagony, a potem znów na malca. Wydawał się nonszalancki, jakby tak naprawdę nie dbał, czyje są te zabawki. Katy jednak podejrzewała, że bardzo go to interesuje.

- Pociąg też jest twój. I ciężarówka, i plastikowe klocki.



- Dlaczego? - zapytał, patrząc jej w oczy.
- Dlaczego są twoje? Bo ci je podarowałam. Bo są święta... i jesteśmy przyjaciółmi.

Odpowiedź usatysfakcjonowała go i Katy miała wrażenie, że teraz bawi się spokojniej.

Ponieważ obiad miał być gotów dopiero za kilka godzin, około drugiej, przygotowała po kubku gorącej czekolady. Ona i jej mały gość wypili ją, budując domek z klocków.

- Co to jest? - spytało dziecko.

- Komin.

- Święty Mikołaj wchodzi przez komin.

- To prawda. Czy w twoim domu był komin? Osobiste pytanie zostało jak zwykle zignorowane. Dziesięć minut później, gdy kończyli już domek, chłopiec wstał i zaczął chodzić po pokoju, zaglądając tu i tam, niczego jednak nie dotykając.

- Jak ci się podoba? - spytała Katy, unosząc domek.

Nie odpowiedział. Kiedy spojrzała, przyglądał się zdjęciu Patricka.

- To mój mały synek - powiedziała miękko. - Ma na imię Patrick.

- Gdzie on jest?

- W niebie.

- Umarł? - spytał chłopiec z całą mądrością młodości.

- Tak, umarł - potwierdziła.

- Jak moja mama - stwierdził rzeczowo. Słyszac tę podaną bez pytania jedyną osobistą informację, Katy odstawiła domek i podeszła, by uklęknąć obok dziecka.

- Twoja mama umarła? Chłopiec kiwnął głową.

- Dawno?

Dzieciak wzruszył ramionami.



- A czy masz tatusia?

Widziała, jak dziecko wsuwa się za niewidzialną zasłonę. Zostawiła ten temat. Miała właśnie wstać, gdy chłopiec znów się odezwał.

- Czy biłaś swojego synka? - zapytał z szokującą szczerością, patrząc jej prosto w oczy.

Katy pytano już o wiele rzeczy, lecz o nic bardziej przejmującego.

- Nie - odparła. - Mamy nie powinny bić swoich synków. Tatusiowie zresztą też nie.

- Czasem mali chłopcy są niegrzeczni i trzeba ich zbić.

To stwierdzenie głęboko zraniło Katy. Aż nazbyt dobrze rozumiała, co oznacza. Temu dziecku powiedziano, że jest niegrzeczne, że zasługuje na karę. Najbardziej zirytowało ją, że ten mały chłopiec, ten wspaniały chłopczyk, uwierzył, że jest zły.

Ujęła w dłonie jego twarz, modląc się, by pozwolił na tak osobisty kontakt.

- Żaden chłopczyk nie jest tak niegrzeczny, żeby jego mama czy tata musieli go bić. - Dziecko milczało. - Ty nie jesteś niegrzecznym chłopcem, kochanie. Jesteś dobry. Nikt nie powinien cię bić. I nikt już cię nie zbije.

Ta rozmowa była bardzo ważna. Mały nie odpowiedział, ale Katy wiedziała, że zrozumiał każde słowo. Teraz przynajmniej dopuszczał możliwość, że nie wszyscy rodzice, nie wszyscy tatusiowie krzywdzą swoje dzieci. Powrócili do budowy domku. Właśnie konstruowali kolejny, trzeci komin, by Święty Mikołaj miał którąś wejść, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Chłopiec uniósł głowę.

Katy zmarszczyła brwi.

- Kto to? - zapytał i Katy widziała, że jest przestraszony.



- Nie wiem, skarbie. Musimy otworzyć drzwi i zobaczyć. -
Wyciągnęła rękę. - Pomożesz mi otworzyć drzwi?

Właściwie oczekiwała, że odmówi. Lecz dziecko ufnie chwyciło ją za rękę.

- Grzeczny chłopiec - stwierdziła i dodała: - Może to Święty Mikołaj?

- Ee, on wchodzi kominem.

- Może komin jest za mały. Może Święty Mikołaj jest zbyt... - otworzyła drzwi - ...gruby.

Słowa zamarły jej w gardle, gdy spojrzała w oczy Connora. Milczeli oboje. Stali tylko i patrzyli, pamiętając swoje ostre słowa, długie samotne dni i jeszcze dłuższe noce.

A potem ich uwagę przyciągnął stojący obok Katy chłopiec, który bez tchu zawołał:

- To naprawdę Święty Mikołaj!



ROZDZIAŁ PIĄTY

Katy spoglądała to na Connora, to na zachwycone dziecko. Nie mogła zrozumieć, dlaczego chłopiec uznał przybysza za Mikołaja. Zwłaszcza kiedy tak stanowczo twierdził, że Święty Mikołaj wchodzi przez komin. Jednak Connor był prawie od stóp do głów ubrany na czerwono. Miał na sobie obszerną bluzę, niemal dokładną replikę bluzy chłopca, z kapturem nasuniętym na głowę dla ochrony przed chłodnym wiatrem. Obrazu dopełniały kolorowo opakowane prezenty.

Katy uśmiechnęła się mimo woli.

- Naprawdę wyglądasz jak Święty Mikołaj. Jadąc tu, Connor przemyślał wiele scenariuszy spotkania, żaden jednak nie przewidywał, że wezmą go za Mikołaja.

Spojrzał na swoje ubranie, potem na paczki i uśmiechnął się.

- Tak, chyba tak.

- Gdzie Rudolph? - zapytał chłopiec.

- To nie jest Święty Mikołaj, kochanie - wyjaśniła Katy. - To jest... to mój przyjaciel.

Dziecko cofnęło się. W brązowych oczach pojawił się wyraz ostrożności i podejrzliwości.

- Nie bój się - powiedziała. - To tatuś mojego synka. To tatuś Patricka.

Chłopiec wciąż nie był przekonany, czy może zaufać przybyszowi.

- On nie bije małych chłopców - zapewniła go Katy.



■^ Wiesz co? -dodała. Chłopiec nadal trzymał ją za rękę i milczał. -To on dał ci dres, który nosisz. Spójrz, ma ten sam kolor co jego.

Wdzięczny losowi za ten nieoczekiwany rozwój wydarzeń, Connor przykucnął przy dziecku.

- Cześć - powiedział. - Mam na imię Connor. Chłopiec cofnął się i głębiej ukrył w fałdach białej wełnianej spódnicy.

Connor nie rezygnował. Wyciągnął przed siebie kaczkę.

- Wiesz, co tu mam? Prezent dla ciebie. A to... Sięgnął po następną. - To też jest dla ciebie.

Chłopiec nawet nie drgnął. Katy puściła jego dłoń,

Odebrała paczkę i potrząsnęła nią delikatnie.

- Ciekawe, co tam jest. Otworzymy w pokoju, dobrze?

Prowadząc dziecko za rękę, wróciła do środka, sadziła, że Connor podąży za nią. On jednak zawahał się.

- Nie mogę wejść. - Katy obejrzała się. - Chciałem tylko zostawić prezenty. Byłem w izbie dziecka - wyjaśnił. - Powiedzieli, że jest u ciebie.

- Z pewnością możesz wejść i poczekać, aż je rozpakuje.

Nie rozumiała dlaczego, lecz była zadowolona, gdy ujrzała w progu Connora. Nie chciała, żeby odchodził. Nie miałyby wtedy szansy, żeby przeprosić za słowa, które rzuciła mu w twarz na cmentarzu.

Connor przeżywał swoistą formę paniki. Kiedy był tu ostatnim razem, z trudem mógł złapać oddech. Wtedy przysięgł sobie, że nie wróci do tego domu i bolesnych wspomnień. Lecz teraz Katy podała mu logiczny argument i czekała na odpowiedź.

Zdjął kaptur i przestąpił próg. Starał się nie patrzeć na wystrój domu i pytał sam siebie, czy zdaje sobie sprawę z tego, co robi.



Po chwili, z niewielką pomocą Katy, chłopiec rozpakował jeden z prezentów. To był pluszowy Rudolph, kompletny, razem ze świecącym jak neon czerwonym nosem.

- Jej, popatrz tylko! - zawołała Katy. - Śliczny, prawda?

- Nos mu się pali - oznajmił chłopiec, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

- Widzę - powiedziała. - Zastanawiam się, skąd Connor wiedział, że lubisz Rudolpha?

- Spytał ludzi z izby dziecka - odparł Connor z lekkim uśmiechem.

- Aha. - Katy uśmiechnęła się także.

- Rudolph je liście - stwierdził chłopiec, próbując ponownie zaświecić nos renifera.

- Tutaj, kolego - odezwał się Connor, odwrócił zwierzę na plecy i wskazał ukryty na brzuchu przycisk.

Tym razem chłopiec nie odsunął się. Connor dostrzegł to i spojrział na Katy. Oczy płonęły jej blaskiem jaśniejszym niż nos Rudolpha. Szczerze mówiąc, ten blask kwalifikował się jako najczystsza magia. Żadne z nich nie zauważyło, że chłopiec odpakuje drugi prezent.

Kiedy Katy poczuła, że ktoś ciągnie ją za spódnicę, przez chwilę nie mogła się zorientować, co się dzieje. Tkwiła w świetle błękitnych jak morze oczu, oczu, które w jakiś sposób potrafiły przejrzeć ją na wylot. Wyrwała się z tego gorzkosłodkiego świata i spojrzała na chłopca.

- Patrz - poleciał. - Następny Rudolph.

- To taśma wideo - wyjaśnił Connor, lecz widział, że to słowo nic dla malca nie znaczy. - Możesz oglądać Rudolpha w telewizji.

- Teraz?

- Może po obiedzie? - zaproponowała Katy. - Nie jesteś głodny?



Było jasne, że chłopiec wolałby obejrzeć film, lecz nie protestował. Katy zastanawiała się, od jak dawna wiedział, że protesty mogą wywołać karę.

Connor rozmyślał, ile czasu zajmie mu przygotowanie kupionych na święta mrożonek. Dziwił się, że kiedyś nie potrafił docenić wspólnego świątecznego obiadu z Katy. Dlaczego trzeba coś stracić, by pojąć tego wartość?

- Zostawię was już samych - powiedział i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! - zawołała. Przystanął, a Katy zawahała się.

Mijały sekundy.

- Podziękujesz Connorowi za prezenty? - spytała chłopca.

Mały ponownie wsunął się za spódnicę Katy. Twarz miał częściowo ukrytą i wystawił tylko jedno oko.

Podobnie, tylko bez pomocy spódnicy, Connor usiłował ukryć rozczarowanie. Czego właściwie oczekiwał? Że Katy go zaprosi? Gdyby życzyła sobie jego towarzystwa, nie wniosłaby o rozwód. Poza tym, na pewno nie miał ochoty na obiad w kaplicy ku pamięci Patricka McKellena.

- Dziękuję - szepnął cicho i wstydliwie malec. Connor uśmiechnął się wzruszony.

- Nie ma za co. Wesołych świąt - dodał, patrząc na Katy.

- Tobie także.

Ruszył do drzwi. Był już na ganku, gdy usłyszał jej głos:

- Może zjesz z nami?

Na pewno mu się zdawało. Zresztą nie powinien poważnie traktować tej propozycji, wynikającej prawdopodobnie z litości.

- To znaczy, jeśli nie masz innych planów - dodała



szybko. - Oczywiście, że masz plany - wycofała się natychmiast, nim Connor zdążył powiedzieć choć słowo. Wszyscy mają plany na święta.

- Nie mam żadnych planów - oświadczył.

- Będzie nam miło, jeśli zostaniesz. - I nagle wydało jej się rozpaczliwie ważne, by usprawiedliwić to zaproszenie, jeżeli nie wobec Connora, to przynajmniej wobec siebie. - Pomyślałam, że dobrze mu zrobi - dyskretnie wskazała dziecko - jeśli spędzi parę chwil w towarzystwie mężczyzny. Jesteś pierwszym, którego dopuścił tak blisko. Zresztą... - uśmiechnęła się nieśmiało - jak obejrzymy wideo? Przecież wiesz, że nigdy nie umiałam porządnie uruchomić magnetowidu.

Próbował się uśmiechnąć, lecz bez efektu. Westchnął tylko głęboko i przecesał palcami krótkie włosy.

- Posłuchaj, Katy. Będę z tobą szczery. Ten dom mnie niepokoi. Niepokoi mnie to, w co go zmieniałaś. Te zdjęcia i w ogóle. - Jakby przewidując odpowiedź, dodał szybko: - Nie powinienem mówić tego, co powiedziałem na komentarzu, i chyba... między innymi po to przyszedłem. Żeby ci to powiedzieć. Żeby przeprosić.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Byłem pewien, że się nie zgodzisz, ale...

- Pozwól mi skończyć - przerwała. - Uważam, że dobrze zrobiliście. Oboje za dużo myśleliśmy i za mało mówiliśmy.

-Możliwe, lecz prawda jest taka, że oboje straciliśmy syna i każde z nas ma prawo opłakiwać go na własny sposób. Jeśli oznacza to, że otaczasz się jego fotografiami, masz do tego prawo. Zrozumiem tylko, że mnie to nie odpowiada.

- Zdjęłam niektóre zdjęcia.

- Nie mogę oddychać między nimi. Wiem, że to głupie, ale...



- Connor, zdjęłam je.

Wreszcie dotarło do niego, co powiedziała.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Sama nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Może z powodu tego, co mówiłeś. Może zdałam sobie sprawę, że te zdjęcia nie przywrócą mi Patricka. Nie wiem. -

Uśmiechnęła się krzywo. - W przyszłym tygodniu może powieszę je znowu.

Connor także się uśmiechnął.

- A więc... - Katy wskazała pokój. - Jeśli chcesz zostać, to chyba się nie udusisz.

Milczał.

Katy zaczęła żałować, że go zaprosiła. Najwyraźniej jego i siebie postawiła w kłopotliwej sytuacji.

- Masz rację. To nie był dobry pomysł.

- Marny - przyznał Connor i dodał: - Właściwie jesteśmy prawie rozwiedzeni.

- Prawie. Sędziemu by się to nie spodobało.

- Niewątpliwie. - Zawahał się na moment, po czym odważnie zapytał: - Chcesz, żebym został, Katy?

- A czy ty chcesz zostać?

- Zapytałem pierwszy.

- Chcę. - Przyjemnie było powiedzieć prawdę. Bardziej niż przyjemnie. To było cudowne uczucie.

- Więc ja też chcę.

Nie mówili już nic więcej. Katy odsunęła się od drzwi i Connor po raz drugi wszedł do domu.

Zgodnie ze swym zwyczajem, chłopiec jadł, jakby taka okazja miała się więcej nie powtórzyć. Poprosił o trzy dokładki sałatki, a także o indyka, smażone słodkie ziemniaki, groszek i żurawinowy sos. A potem, nie do wiary, zjadł jeszcze kawałek orzechowego ciasta. Jego apetyt jak i fakt, że mały nieco się zaokrąglił, cieszyły Katy. Connor, który jadł proporcjonalnie tyle samo, uśmiechnął się tylko i powiedział,



że w końcu znalazł kogoś, z kim może się zmierzyć przy stole.

Po obiedzie puścili kasetę o Rudolphie, a malec usiadł na podłodze przed telewizorem.

- Nie jest do mnie przekonany - powiedział Connor do sprzątającej stół Katy.

- Nie - przyznała szczerze. - Ale jest przy tobie bardziej swobodny niż przy jakimkolwiek innym mężczyźnie. - A gdy Connor zaczął zbierać sztućce, dodała: - Zostaw, sama posprzątam.

- Pomogę - nalegał. - Zawsze tworzyliśmy świetny zespół, przynajmniej w kuchni.

Przez krótką chwilę wypełnioną szybkim biciem serc patrzyli na siebie, zastanawiając się po raz tysięczny, co tak naprawdę ich rozłączyło.

Katy pierwsza odwróciła wzrok, rozpaczliwie szukając bezpiecznego tematu.

- Matka chłopca nie żyje - powiedziała cicho.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi. Kiedy mówiłam, że Patrick jest w niebie, oświadczył, że jego matka też. Ale nie wiem, jak dawno zmarła.

Wspomniała także, co mówił o karaniu niegrzecznych dzieci. Connor był tym równie poruszony jak ona.

- Co za sukinyś przekonuje dziecko, swojego własnego syna, że zasługuje na karę?

- Cii. Nie mów tak głośno - upomniała Katy. Wyjrzała z kuchni. Mały był zbyt zajęty przygodami

Rudolpha, by zwracać uwagę na to, co się wokół dzieje.

- Przepraszam, ale zezłościłem się - westchnął Connor.

- Tak, ja też.

-Kiedy złapią tego drania, na pięć minut chciałbym zostać z nim sam na sam.



- Jak każdy policjant w mieście.

Umilkli, wpadając w rutynę starą jak ich małżeństwo.

Connor wkładał talerze do zmywarki, a Katy naląła do zlewu wody, by umyć pozostałe naczynia.. Dzwonienie kryształu i brzęk sztućców z rzadka przerywały ciszę.

Katy słyszała pisk adidasów Connora na posadzce, znajomy dźwięk, uspokajający, choć ożywiał gorzko-słodkie wspomnienia. Przez tyle nocy, gdy ich syn cierpiał, a oni liczyli minuty do podania lekarstwa, Connor nosił Patricka po kuchni.

Ile jeszcze, zanim możemy mu podać lek, niemal słyszała pełne troski pytanie Connora.

Dwadzieścia, minut.

Dlaczego nie możemy dać mu zaraz?

Bo lekarz powiedział, że co cztery godziny.

Jego tu nie ma, do diabła! Nie musi słuchać płaczu

Patricka, zresztą to nie jego syn. Może sobie pozwolić na cierpliwość. Stać go na czekanie przez cztery godziny!

Lecz Connor także czekał. Czekał i chodził, chodził i czekał. Katy spojrzała na niego. Już wtedy wiedziała, że cierpi, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, jak trudne były dla niego te noce. Dla niej także. Było jej ciężko rozstać się z Patrickiem nawet na tę krótką chwilę, gdy Connor trzymał go na rękach. Chyba wierzyła, że gdyby wystarczająco mocno przytuliła syna, mogłaby przejąć na siebie część bólu. A poza tym każda sekunda, gdy był na rękach Connora, była dla niej straconą sekundą. Czy naprawdę była egoistką?

Connor podniósł głowę, zauważył spojrzenie Katy i zastanowił się, o czym myśli.

- To już wszystko? - rzuciła szybko.

- Tak.

Na chwilę zrozumiała jego potrzebę ucieczki od



cierpień syna. Nie, nie może, nie zdradzi samej siebie wybacząc mu nieobecność. Zbyt wiele razy go nie było, gdy go potrzebowała. Zbyt wiele razy wybierał najprostsze wyjście. A ona nie będzie się obwiniać o to, że zachowała się jak każda matka.

A jednak...

Czy za to wszystko nie powinna bardziej nim pogardzać? Być bardziej obojętną na zapach jego płynu po goleniu? Czy nie powinna nienawidzić pisku adidasów?

- Katy, dobrze się czujesz?

- Tak, bardzo dobrze - odpowiedziała.

Kłamała. Był tego pewien. Może jednak nie powinien tu zostawać. Nie tylko ze względu na nią, ale i na siebie. Nawet bez fotografii, dom wypełniały wspomnienia. Pamiętał, jak z synem na rękach chodził dookoła kuchni, czekając, aż minie czas i zegar wyda pozwolenie na kolejną dawkę środka znieczulającego. Boże, te noce były torturą! Jak bardzo chciał przed nimi uciec! Przez chwilę zastanawiał się, czy tak właśnie nie postąpił. Czy pozwolił się odsunąć, ponieważ wtedy mniej cierpiał? Jakie uczucia powinien żywić do tej kobiety, która przez tyle lat była jego żoną? Kobiety, którą kochał od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Kobiety, którą miał niedługo stracić. Wiedział tylko, że tęskni za drobiazgami: za tym, jak przytulała się do niego w nocy, za jej pięknymi oczami, za tym jak się śmiała, jak się kochali. Tak, brakowało mu nie tylko ważnych rzeczy, ale tysiąca drobnostek, które potrafił ogarnąć tylko sercem. Nie zastanawiając się, sięgnął po jej rękę. Spojrzała mu w oczy. Jej wzrok pytał: „Co ty wyprawiasz?”. Nie umiał odpowiedzieć. Po prostu odczuł nieprzepartą chęć, by jej dotknąć. O Boże, jak tęsknił za tym dotykiem.



Miękka. Jej dłoń była miękka i ciepła, ciepła i gładka. Wiedział, że igra z ogniem, który może go spalić, lecz odważnie i powoli gładził tę dłoń kciukiem.

Dotyk sprawił, że Katy oddychała szybko, a serce w piersi stało się ciężkie. Dlaczego on to robi? Dlaczego ona mu na to pozwala? I dlaczego jest to takie przyjemne?

- Przestań - szepnęła.

Ale Connor nie puścił jej ręki. Przesunął dłonią wzdłuż wilgotnych palców.

- Przestań, proszę - powtórzyła nagłaco.

- Dlaczego? Kiedyś lubiłaś, gdy trzymałem cię za rękę. -

Zanim zdążyła powiedzieć, że o to właśnie chodzi, że nadal lubi, Connor dodał: - Bez pierścionków twoja dłoń wygląda dziwnie.

Katy też tak uważała. Był to jeden z aspektów separacji i rozvodu, do którego nie mogła się przyzwyczaić.

Och, Connor, jest cudowny, wspomniała własny głos.

Żałuję, że diament nie może być większy.

A ja nie. Ten jest idealny.

Wspomnienia przytłaczały Connora. Wspomnienie o tym, jak stał przed Bogiem przyrzekając kochać i szanować tę kobietę, póki śmierć ich nie rozłączy. Wsuwając obrączkę na jej palec, przypieczętował to przyrzeczenie.

- Och, Katy - szepnął ledwie słyszalnie. - Spapraliśmy wszystko. Zupełnie. Jak nam się to udało?

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie wiem. Connor zmysłowo wplótł palce w jej dłoń. Tak zmysłowo, że odczuł to aż do głębi. Tak zmysłowo, że Katy poczuła, jak pożądanie flirtuje z jej rozsądkiem. I żadne nie zauważyło stojącego obok dziecka.

- Rudolph się skończył - oznajmił chłopiec, sprowadzając ich do rzeczywistości.



Katy wyrwała dłoń, jakby zostali przyłapani na czymś kompromitującym. Wytarła ją o spódnicę, usuwając wilgoć i starając się usunąć pamięć dotyku Connora. Nie potrafiła. Wciąż trzymała w ręku garść samotności, tej samej, którą trzymał Connor.

Na prośbę chłopca cała trójka usiadła przed kominkiem, by zbudować z klocków sanie Świętego Mikołaja. Mały odzywał się rzadko i tylko do Katy. Siedział możliwie blisko niej i jak najdalej od Connora. Katy dostrzegła jednak, że *co* chwilę zerka na mężczyznę z zaciekawieniem.

Zresztą ona także od czasu do czasu spoglądała dyskretnie na Connora i także odsuwała się od niego. Pieszczota sprzed kilku minut rozpałała ogień. Bała się, że jeśli jeszcze raz jej dotknie, ogień przekształci się w dziki pożar.

-To wygląda na bardzo porządne sanie - stwierdził Connor, świadomy, że i dziecko, i kobieta odsuwają się od niego.

- Wyglądają solidnie - przyznała Katy. - Co o tym myślisz? - spytała malca.

- Czy te sanie będą latać? - zapytało dziecko. -Ja nimi polatam. -Katy uniosła sanie i sunęła nimi w powietrzu.

- A czy Rudolph może je ciągnąć? - zapominając o lęku chłopiec zwrócił się do Connora..

-Pewno - odparł Connor. -Ale najpierw skończmy budowę. Podaj mi te klocki, dobrze? NN podniósł wskazane klocki.

- Dzięki. - Connor był świadom, że mały przykucnął obok niego. - Wstaw tutaj. -Dziecko posłuchało. - Teraz dobrze - pochwalił mężczyzna. - Jesteś fachowcem od budowy sań, co?

Chłopiec z dumą skinął głową.



Przez następne kilka minut cała trójka pracowała w skupieniu. Connor czuł dreszcz emocji widząc, jak chłopiec angażuje się coraz bardziej i akceptuje go bez oporu. Równocześnie odczuwał smutek, że jego syn nie miał zdolności fizycznych i umysłowych, by bawić się z nim jak to dziecko.

- Czy mogę powozić saniami? - spytał mały.

- Chyba jesteś za duży - odparł Connor. - Ale wiesz co, zrobimy małego chłopca. Takiego jak ty. Masz chusteczkę?

- zapytał Katy.

- Pewnie. - Wstała i zniknęła na piętrze.

Po chwili wróciła z dużą, białą, męską chustką. To była chustka Connora, którą tu zostawił.

- Zrobimy chłopca podobnego do ciebie. Dziecko patrzyło zafascynowane, jak Connor zawiązał na supeł róg chusteczki.

- To jest głowa - powiedział. - A tu... - Zawiązał dwa węzły po przeciwnych rogach. - Tu będą ręce. Dobrze, a teraz wstawimy chłopca do sań.

- Davida - odezwał się malec.

Oboje, Katy i Connor, unieśli głowy. W milczeniu zadawali sobie to samo pytanie: Czy to jest imię, którego szukali?

- W porządku - powiedziała Katy - będziemy go nazywać Davidem. Czy on ma nazwisko?

Dziecko pokręciło głową.

-Ale powinniśmy dać mu jakieś nazwisko - nalegała.

- Nie chcę. - Mały zaczął się bronić.

- Nie trzeba - uspokoił go Connor. - Będzie po prostu Davidem.

I tak Rudolph, którego nos oświetlał drogę, ciągnął sanie z siedzącym w środku Davidem z chusteczki. Napędzane mięśniami Connora sanie płynęły po niebie, a chłopiec śmiał się. Katy pierwszy raz słyszała, jak się śmieje, i uznała, że to najpiękniejszy świąteczny prezent.



- Niech leci znowu - poprosił chłopiec.
- Odpocznijmy chwilę - zaproponował Connor, lądując na podłodze. - Rudolph jest zmęczony.
- Rudolph musi odpocząć - wyjaśnił Katy malec.
- Tak, chyba bolą go ręce. - Uśmiechnęła się.
- Renifery nie mają rąk - zauważyło roztropnie dziecko.
- Och, przepraszam.

Uznano, że zmęczony renifer jest spragniony i głodny.

Pożywił się jemiolą umocowaną do żyrandola.

- A może ten mały chłopiec w saniach napiłby się oranżady? - zapytała Katy.

Oczy dziecka rozbłyły.

- A czy ja mogę się napić?

- Oczywiście. - Katy wyszła do kuchni i naleła napoju do szklanki. - Siadaj na dywanie i pij.

Chłopiec wziął szklankę z taką miną, jakby właśnie otrzymał milion dolarów.

- Tak niewiele trzeba, by uczynić go szczęśliwym - powiedziała, opierając się o framugę drzwi.

- Tak - przyznał Connor. Potem ściszył głos i spytał: - Myślisz, że ma na imię David?

- Myślę, że to całkiem możliwe, choć ta informacja niewiele pomoże. Nie znając nazwiska, nie posuniemy się dalej.

W milczeniu obserwowali dziecko. Mały napił się, a potem napoił Rudolpha. Pochylił się, szepnął coś do ucha renifera i udawał, że ten mu odpowiada.

- Zastanawiam się, jakie ukrywa tajemnice - powiedział Connor.

- A ja, czy kiedyś mógł się z kimś nimi dzielić.

- Ma ciebie. Dokonałaś prawdziwych cudów.

- Nie większych niż ty dzisiaj. Pierwszy raz zaufał mężczyźnie.

- Więc moja wizyta nie była takim złym pomysłem?



- Co chcesz, żebym powiedziała? - Katy spojrzała na niego podejrzliwie.

- Prawdę. Czy moja wizyta była złym pomysłem?

- Oczywiście, że nie. Dzieciak...

- Zapomnij o nim na chwilę. Czy ty jesteś zadowolona, że przyszedłem?

- Connor, co mam ci odpowiedzieć? - powtórzyła, lękając się wyznać, co nosi w sercu, bojąc się odsłonić.

- Że jesteś równie zmieszana jak ja. Że nie wiesz, co powinnaś czuć. Że jest ci równie trudno przerwać szesnastoletnie małżeństwo. - Podniósł głos. - Do diabła, powiedz, że wcale nie jest ci łatwiej niż mnie!

- Nie kłóćcie się - odezwał się chłopiec. Stał w pokoju, a zalęknione oczy wypełniały się łzami.

Spojrzeli na niego zaskoczeni, że słyszał ich rozmowę.

- Nie kłóćmy się, skarbie. - Katy podeszła do niego.

- Nie, mały. Naprawdę się nie kłóćmy - zapewnił Connor.

- Nie bij jej. Nie bij mnie - jęknęło dziecko. Ta prośba brzmiała rozdzierająco.

- Nie, nie - powiedział Connor. - Nie uderzę Katy. I ciebie też nie uderzę.

Bez namysłu objął chłopca rękami i, nie do wiary, mały na to pozwolił. A nawet wtulił twarz w jego ramię.

Obraz był tak wzruszający, że Katy poczuła łzy w oczach.

Connor dostrzegł to i odruchowo przygarnął i ją. Jak dziecko, pozwoliłaby otulić ją ramieniem. Rozpaczliwie potrzebowała takiego uścisku, więc zrobiła to, co podpowiadał instynkt. Przyłgnęła do mężczyzny, który już wkrótce miał być prawnie usunięty z jej życia.

Potem, już po wyjściu Connora, Katy uświadomiła



sobie, że wszyscy troje stali pod jemiolą. Może zdarzeniami dyrygowała niewidzialna ręka. Może to, co zaszło, było tylko świątecznym czarem.

Connor z ciężkim sercem wszedł do mieszkania. Nie chciał tu wracać, szczególnie po wyjściu z ciepłego, serdecznego domu, który kiedyś dzielił z Katy. Sam nie wiedział, co sądzić o tym dniu i o jego zakończeniu. Katy w jego ramionach była tak bardzo na miejscu, że teraz niepokój wzrósł dziesięciokrotnie.

Zrzucił buty i szedł właśnie do kuchni, by przygotować dzbanek oczyszczającej umysł kawy, gdy dostrzegł światelko na automatycznej sekretarce. Podszedł, wcisnął guzik odtwarzania i czekał.

- Cześć - usłyszał niepewny głos Katy. - Ja... chciałam tylko powiedzieć, że cieszę się, że przyszedłeś. I że jestem równie zmieszana jak ty. I nie wiem, co powinnam odczuwać. Nie wiem, jak powinnam odbierać rozwód. Wiem tylko, że to boli.

Nastąpiła cisza. Connor czekał, aż powie coś więcej, lecz milczała. Po paru sekundach usłyszał, jak odkłada słuchawkę. Próbował uporządkować swoje uczucia. Cieszył się, że zadzwoniła i przyznała mu rację. Jednak teraz był tym bardziej niespokojny. A co gorsza, jedno wiedział na pewno: oddałby duszę, by znów trzymać Katy w ramionach.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

-Mamy trop - oświadczył Sam Abrams, wpadając do gabinetu Katy nazajutrz po świętach.

Katy siedziała przy biurku. Udawała, że pracuje, lecz przez większość czasu myślała o świątecznym dniu i o telefonie. Zadzwoiła zaraz po wyjściu Connora, gdyż wołała, może tchórzliwie, zostawić wiadomość. Nie wiedziała, czego ma oczekiwać. Czy zatelefonuje do niej? Miała nadzieję, że tak. Miała nadzieję, że nie. Nie zadzwonił. Zastanawiała się, czy postąpiła rozsądnie.

- Jaki trop? - spytała.

- Mieliśmy szczęście. Dzieciak z Nashville przyjechał do Charlotte odwiedzić dziadków. Zobaczył zdjęcie w gazecie i rozpoznał w tym małym szkolnego kolegę. Przy okazji, on naprawdę ma na imię David. David Eason.

- Wiedziałam! - zawołała Katy. - Po tym, co mówił wczoraj, byłam pewna, że ma na imię David. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Niewiele. David jest w pierwszej klasie, ale według zeznań chłopca, często opuszcza lekcje, jest bardzo spokojny i zamknięty w sobie.

- Co z jego ojcem?

- On nic nie wie o rodzinie Davida - odparł Sam, odruchowo sprawdzając, czy zaczesane włosy kryją łysinę.

- Rozmawiałem z policją w Nashville i sprawdzają teraz w szkole. Już wkrótce powinniśmy wiedzieć wszystko o Davidzie Easonie.



Ruszył do drzwi. W progu odwrócił się jeszcze-

- Aha, mogłabyś zawiadomić Connora? To dzięki jego artykułowi...

Na dźwięk tego imienia serce Katy zabiło mocniej. Sam natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

- Może wolisz, żebym ja zadzwonił?

- Nie - odparła Katy, udając, że ta sugestia nie wywarła na niej wrażenia. - Zawiadomię.

Sięgnęła po telefon zaraz po wyjściu Sama. Dowiedziała się, że Connora nie ma w redakcji. Zostawiła wiadomość, a potem pozostałą część popołudnia siedziała jak na szpilkach. Za piętnaście czwarta oderwał się wreszcie.

- Cześć - przywitała się przez ściśnięte gardło,

- Dostałem twoją wiadomość.

- Sprawa zaczyna się wyjaśniać... - zaczęła.

- Świetnie! Czego się dowiedziałas?

Katy powtórzyła wszystko, co powiedział jej Sam.

- W święta szkoła jest nieczynna. Nie będzie im łatwo dostać się do dokumentów.

- Dasz mi znać, gdyby coś się zdarzyło? - spytał.

- Oczywiście. W końcu, jak już Sam zauważył, to wszystko dzięki twojemu artykułowi.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Nie będę cię zatrzymywać - odezwała się po chwili ciszy.

- Wiem, że jesteś zajęty.

-Katy?

- Tak? - Wydawało jej się, że przestaje oddychać.

-Dostałem też twoją drugą wiadomość - odezwał się wreszcie. Serce podeszło jej do gardła. - Jestem wdzięczny za szczerść. To potwierdziło moje odczucia.

- Ale to niczego nie zmienia, prawda? - zapytała. - Wciąż nie wiemy, co powinniśmy czuć w takiej sytuacji.



-Nie, ale chyba do tego służy rozwód. Po rozwodzie dowiemy się wszystkiego.

Na tym się pożegnali. Lecz Katy nadal nie pojmowała, jak z kawałka papieru może się dowiedzieć, co powinna czuć, gdy jej serce nie miało o tym bladego pojęcia. Żałowała tylko, że Connor znów zaistniał w jej życiu. Przedtem wszystko wydawało się prostsze. Nie miała wątpliwości co do rozwodu. Czyżby pojawiły się teraz? Musiała przyznać, że nawet na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć.

Kolejny dzień, piątek, oznaczał, że do rozwodu pozostały jeszcze dwa tygodnie. Policja zdobyła nowe informacje o Davidzie Easonie. Zgodnie z danymi szkoły, jego matka zmarła dwa lata temu. Chłopiec mieszkał z ojcem, Howardem Easonem i dwójką starszych braci. Według nauczycielki, David, choć *miły i grzeczny, nie interesował się nauką i miał* marne oceny. Sprawę pogarszały jeszcze częste nieobecności. Ojciec tłumaczył, że David cierpi na alergię, lecz nauczycielka niezbyt w to wierzyła. Od czasu do czasu widziała natomiast podejrzanę sińce. Rozmawiała nawet z ojcem na ten temat, ale dowiedziała się, że to efekt zwykłych przepychanek z braćmi, a David to potwierdził. Policja złożyła Easonom wizytę i przekonała się, że dom jest zamknięty. Sąsiedzi poinformowali, że Eason i synowie wyjechali z wizytą do krewnych, prawdopodobnie do Północnej Karoliny. Twierdzili też, że Eason jest spokojnym, zamkniętym w sobie człowiekiem. O Davidzie nie wiedzieli zbyt wiele. Widywali go od czasu do czasu, lecz nie utrzymywali z rodziną bliższych kontaktów. Kiedy zamierzali wrócić? Nikt nie wiedział na pewno. Rozczarowana policja dwóch stanów rozpoczęła grę w oczekiwanie.



Zbliżał się dzień rozwodu i Katy także rozgrywała swoją prywatną grę w czekaniu. Informowała Connora o postępkach w sprawie Easona, lecz żadne z nich nie wspominało o sprawach osobistych. Łatwiej i bezpieczniej było skupić się na kwestiach zawodowych, niż pamiętać o wydarzeniu, które miało zmienić ich życie.

Trzydziestego pierwszego grudnia, ku radości dziesiątków ludzi w Nashville i Charlotte, Howard Eason został aresztowany. Na przesłuchaniu przyznał, że musiał karać Davida bardziej surowo niż pozostałych chłopców, ponieważ był zawsze trudnym i nieposłusznym dzieckiem. Ojciec nazwał chłopca głupim i niezdolnym do nauki, o czym miały świadczyć jego oceny w szkole. Co więcej, David nigdy nie robił tego, co mu kazano. Gapił się tylko w przestrzeń jak idiota. Skąd się wzięło podbite oko i inne siniaki, pytali policjanci. Bił się z braćmi, odparł Eason, lecz naciskany przyznał, że sam kilka razy uderzył chłopca. Nie zamierzał go skrzywdzić, a tylko przywołać do porządku. Często zmuszał go do posłuszeństwa, ograniczając jedzenie. Dlaczego go porzucił? Ponieważ mały posikał się w spodnie.

Słyszając to, Katy wpadła w szał. A gdy opowiedziała o tym Connorowi, jego też ogarnęła furia.

-To sukinsyn - wściekał się przez telefon. - Podróżował pięć godzin bez przerwy i nie poszedł z małym do ubikacji. A potem był tak okrutny, by zostawić chłopca, gdy ten zmoczył spodnie. Sukinsyn - powtórzył. - Powinni go powiesić za...

- Connor, uspokój się.

- Ja? To ty krzyczałaś jeszcze parę minut temu.

- Wiem, ale już się uspokoiłam - westchnęła Katy. —
Przynajmniej próbuję.

- Masz rację. - Connor też westchnął. - Nie warto się denerwować.



- Właśnie. Howard Eason zapłaci za to, co zrobił. A dla chłopca będzie lepiej, gdy zmieni środowisko.

- Tak, powinniśmy się cieszyć, zamiast nawoływać do linczu.

- Fakt, powinniśmy się cieszyć.

-Więc zróbmy to. Dostałem zaproszenie na sylwestra.

Pójdiesz ze mną? - Myślała, że źle słyszy. - Jesteś tam? -

Cisza. - Katy, co ty na to?

Co ona na to? Dokładnie słyszała, co powiedział i spodobał jej się ten pomysł.

- Sądzę, że to szaleństwo - odparła.

- Masz rację. Sędzia nie byłby zachwycony.

- Na pewno. Chociaż - dodała - to przecież nie jest randka.

- Nie, nie, żadna randka. Po prostu świętujemy. I

oczywiście, sędziego tam nie będzie.

-■ Nie, *ale ludzie*, którzy się rozwodzą, nie *chodzą* razem na zabawy. To taka ogólna zasada.

- Masz rację, to marny pomysł - przyznał Connor.

- Zupełnie fatalny. Chyba najgorszy, jaki miałem w życiu.

- Nie, twoim najgorszym pomysłem była wyprawa na Haiti.

- A, tak. O tym zapomniałem. Więc dobrze, nasz wspólny bal jest drugi w kolejności.

- To by się zgadzało - potwierdziła i dodała: - Słuchaj, muszę już iść. Sam mnie woła.

- W porządku. Dzięki za telefon.

- Nie ma za co.

- Aha, Katy? Wpadnę po ciebie o siódmej.

- Może lepiej wpół do ósmej?

- Dobrze. To na razie.

Katy odwiesiła słuchawkę. Uśmiechała się lekko. Lecz uśmiech zniknął powoli. Czy zdawała sobie sprawę, co właściwie robi? Pewnie nie. Ale przez cały



MILCZENIE ANIOŁÓW

87

miniony rok gnębiło ją podobne uczucie zagubienia A teraz przynajmniej pojawiło się podniecenie.

Po Johnie Siegelu, William Gordon był najlepszym przyjacielem Connora. Był także jego szefem, więc kiedy zaprosił go na zabawę sylwestrową, Connor uznał, że choć nie ma na to ochoty, właściwie nie ma też wyboru. Gdy William, Dziki Bill dla przyjaciół i współpracowników, stanął w drzwiach swojego ganckiego domu w Dilworth i dostrzegł Katy u boku Connora, szeroko otworzył usta. Po raz pierwszy Connor widział u przyjaciela taką reakcję. Ale nie zdziwił się zbyt, gdyż sam, gdy ujrzął dziś Katy zareagował podobnie. Przez wszystkie lata, kiedy ją znał, nigdy nie wyglądała tak promiennie i cudownie. Stali teraz po przeciwnych stronach pokoju, a Connor wciąż nie mógł oderwać od niej wzroku. Rozmawiała z Billem. Czarne satynowe spodnie opadały wdzięcznie od wąskiej talii ku szczupłym kostkom, a czarny sweter zdobiony złotem i lodowatobiałymi kryształkami okrywał smukłą, lecz kobiecą figurę. W uszach, niczym eleganckie neony, błyszczały kolczyki z kryształem.

A włosy...

Co ona zrobiła z włosami? Zebrane na czubku opadało luźno na uszy, czoło i kark. Właśnie na spoglądał ze szczególnym zainteresowaniem. Nie potrafił oderwać od niego oczu. Gapił się, odczuwając tortury tysiąca fantazji. Gdyby tak przycisnąć wargi do odsłoniętej szyi, a potem rozpuszczać włosy szpilka po szpilce... Jakie byłoby to uczucie, gdyby wsunął palce w te uwolnione nagle loki? Przestań, przyszedłeś tu, aby świętować, nie żeby się ślinić. Zresztą nie masz żadnego prawa do tej damy. Wytłumacz to swemu sercu, chłopie. A przy okazji



zrób jeszcze coś. Przekonaj swoje ciało, że już jej nie chce i nie potrzebuje.

Katy słuchała Billa Gordona i kątem oka spoglądała na Connora. Obserwowała go przez cały wieczór, od chwili gdy otworzyła drzwi, a on stanął w progu w białych wełnianych spodniach i w białym swetrze. Stwierdzenie, że wyglądał rewelacyjnie, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Stwierdzenie, że wie, dlaczego przyjęła to zaproszenie, byłoby kłamstwem. Zresztą była już zmęczona próbami odpowiedzi na to pytanie. Po prostu chciała przyjąć, i już.

Nie zastanawiała się również, dlaczego ruszyła w szalony rajd po sklepach i wróciła ze stosami nowych ciuchów.

Potem ubłagała fryzjera, by zrobił z jej włosami coś niezwykłego. To nie był jej styl, ale właśnie *o to chodziło*. *Dziś wieczór nie chciała być Katy McKellen*. Przez jeden wieczór chciała zapomnieć o swoich problemach.

Zapomnieć, że straciła syna, że wkrótce będzie rozwódką. Chciała tylko pamiętać, że dziś zdarzyło się coś dobrego, coś, co warto uczcić.

I chciała to zrobić z mężczyzną, który przez tyle lat doprowadzał ją do śmiechu i do płaczu, który był jej przyjacielem i kochankiem. Był jedyną osobą na świecie, która do tego się nadawała.

- Czy to coś oznacza, że przyszlście razem? - spytał Bill. - Wybacz mi śmiałość, ale wiesz przecież, jak was oboje lubię.

Katy uśmiechnęła się do tego wysokiego mężczyzny, podobnego do Alana Aldy.

- Jesteś słodki, Bill, ale nie. Nie zeszlśmy się, jeśli o to ci chodzi.

- Aż za dobrze wiesz, że właśnie o to mi chodzi. A dlaczego się nie zeszlście?

- Już za późno, Bill. - Uśmiech Katy zbladł.



- Nigdy nie jest za późno. Dobrze, dobrze - dodał, gestem rąk powstrzymując jej protest. - To nie moja sprawa. Ale dlaczego nie chcecie mnie słuchać, to już naprawdę nie rozumiem. - Łyknął szampana, ale wyraźnie nie chciał zmienić tematu. - Gdyby Connor mnie posłuchał, w ogóle by nie doszło do tego wypadku w Atlancie.

Coś w tonie Billa zwróciło uwagę Katy.

- O czym ty mówisz?

- Przekonywałem go, by nie brał tego samolociku w czasie burzy. Ale czy chciał mnie słuchać? Nie zrozumiem mnie źle, wiem, że chciał być z Patrickiem do końca, jak każdy ojciec, ale tłumaczyłem, że swoją śmiercią nie przysłuży się ani tobie, ani dziecku. Kiedy się dowiedziałem, że jego samolot spadł... Katy, dobrze się czujesz? Jesteś blada jak ściana.

Na słowa , jego "samolot spadł", Katy poczuła, że znalazła się w świecie koszmaru.

Bill wyglądał, jakby miał ochotę uciąć sobie język.

- Czy powiedziałem coś, czego nie powinienem?

- O czym ty mówisz? - powtórzyła.

- Lepiej porozmawiaj z Connorem. - Bill zaklął pod nosem.

- Rozmawiam z tobą. - I dodała z uporem i prośbą, której nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna. - Proszę.

- Chyba wkładam sobie pętlę na szyję, ale niech będzie. -

Bill westchnął głęboko. - Byłem z Connorem na lotnisku, kiedy dotarła twoja wiadomość, że Patrick jest umierający. Próbował wszystkiego, by zmusić ich do startu, ale lotnisko było zamknięte z powodu pogody. Nic nie mogło lądować ani startować. No więc Connor wpadł w szal. W końcu zrobił taką scenę, że ktoś wezwał ochronę lotniska. Chcieli go usunąć siłą, dopóki nie wytłumaczyliśmy, co się dzieje... no wiesz, z Patrickiem... ale nic się nie dało zrobić. Pogoda jeszcze się pogorszyła.



- Więc Connor znalazł właściciela jakiegoś małego samolotu, który zgodził się lecieć z nim do Charlotte. - Mówiąc to, Katy poczuła ukłucie lęku.

- Tak, ale, wierz mi, nie było łatwo znaleźć kogoś, kto chciałby zaryzykować. Och, oczywiście, wszyscy mu współczuli, ale nikt nie chciał kłaść głowy pod topór. Będę szczery, Katy. Prosiłem go, by tego nie robił. To było jak samobójstwo.

- Ale w końcu kogoś znalazł? - Strach zacisnął zimne palce na jej sercu.

Bill skinął głową.

- Jakiś były marines zlitował się i powiedział, że przynajmniej spróbuje dostarczyć go do domu.

- I mu się nie udało - stwierdziła rzecz oczywistą.

- Po piętnastu minutach lotu w samolot trafił piorun.

Katy coraz głębiej pogrążała się w koszmarze. Koszmarze, który przypominał teraz jej sen, gdy zaglądając do trumny syna, odnajdywała w niej swego męża. Czyżby ona i Connor byli tak do siebie dostrojeni, że intuicyjnie wyczuwała zagrożenie?

-W jakiś niesamowity sposób, wszyscy uznali to za cud, pilot zdołał wylądować w polu. Ale nie bezkarnie. Złamał rękę i nogę. Connor wyszedł z tego z zadrapaniami, sińcami i, jak stwierdzili lekarze, lekkim wstrząsem mózgu. Chcieli zatrzymać go w szpitalu, ale odmówił. Wyszedł z ambulatorium, wynajął samochód i ruszył do Charlotte.

Lecz wtedy było już, oczywiście, za późno.

Tak, wtedy było już za późno, pomyślała Katy. Patrick już nie żył. Umarł w jej ramionach i tuliła do siebie jego małe martwe ciało. Ale nie zaznała spokoju. Łzy paliły jej oczy, gniew rozdzierał serce. Raz po raz pytała siebie, dlaczego Connor nie dotrzymał obietnicy, dlaczego zostawił ją samą w tej strasznej chwili.



- Przykro mi - powiedział Bill. - Myślałem, że wiesz. Wiedziała tyle, że ogarnia ją przerażająca słabość.

- Katy, dobrze się czujesz?

- Tak. Wszystko w porządku. Przepraszam cię na chwilę. Działając odruchowo, Katy ruszyła w stronę Connora, który rozmawiał z kimś w karnawałowej czapeczce. Dostrzegła mimochodem, że wszyscy włożyli różne zabawne nakrycia głowy. Doszła do wniosku, że pewnie zbliża się północ. Musiała porozmawiać z Connorem, zanim zacznie się Nowy Rok.

Connor zauważył, jak bardzo jest blada, i taktownie przerwał rozmowę. Już od kilku minut próbował się wyrwać i wrócić do Katy. Za każdym razem, kiedy się rozstawali, dzielił uwagę między Katy i tego, kto go zatrzymywał.

Spotkali się w połowie drogi.

- Co się stało? - spytał bez wstępów.

- Muszę z tobą porozmawiać. Muszę cię o coś zapytać.

- Dobrze. O co? - Connor zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że próbowałaś wrócić do Patricka? Dlaczego nie powiedziałaś, że wynajęłaś samolot i że on spadł? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że o mało nie zginęłaś?

Przy ostatnim pytaniu podniosła głos i mimo panującego gwaru, kilka osób spojrzało w ich stronę. Nawet tego nie zauważyli. Connor nie spodziewał się takich pytań.

Ogarnęły go znajome uczucia: bólu i gniewu. Nagle zaprzagnął odwrócić się, uciec, ukryć.

W pobliżu dostrzegł drzwi prowadzące na patio. Wybiegł przez nie i natychmiast znalazł się w objęciach mroźnej nocy. Przez cały dzień temperatura wahała się w pobliżu zera, a potem spadała z każdą godziną.



Dzisiejszy sylwester będzie chyba najzimniejszym w historii Charlotte. Co gorsza, drobnymi płatkami zaczął przyszyć śnieg, jako preludium zapowiadanych na ranek opadów. Ani Connor, ani Katy, która wyszła tuż za nim, nie dostrzegli mrozu, ani tego, że są bez płaszczy.

- O nie, nic z tego - oświadczyła Katy. - Nie podwiniesz ogona i nie uciekniesz, kiedy zaczynają się kłopoty.

Connor odwrócił się nagle.

- To oskarżenie jest troszkę pozbawione podstaw, zwłaszcza że teraz już wiesz, że próbowałem wrócić do ciebie i Patricka. Nawiasem mówiąc, Bill... zakładam, że o tym właśnie rozmawialiście... nie miał prawa ci mówić, co się wydarzyło.

- Myślał, że wiem, co w tych okolicznościach było bardzo rozsądnym założeniem. - Raz jeszcze ogarnął ją gniew, wzmagany lekkiem. - Do diabła, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałaś wiedzieć.

Katy wyglądała, jakby odezwał się do niej w obcym języku.

- Co to ma znaczyć?

- Chciałaś, żebym był winien. Szukałaś powodu, by wystąpić o rozwód.

- Bzdura.

- Więc dlaczego nie spytałaś, czemu nie byłem przy śmierci Patricka? Czemu się nie złościłaś, nie krzyczałaś, tak jak teraz? Dlaczego wymknęłaś się tylko do adwokata i złożyłaś pozew o rozwód? Jakbym nie zasłużył nawet na wyjaśnienia, jakbyś nie była mi winna choćby jednego zdania: że już mnie nie kochasz.

- Cierpiałam! - krzyknęła.

- Ja też! Do diabła, Katy, nawet nie zauważyłaś, że miałem na głowie guza wielkości jajka. Musiałbym



chyba zginąć, by zwrócić twoją uwagę. I nie wiem, czy nawet wtedy byś coś dostrzegła!

Ostatnie oskarżenie było tak okrutne, że Katy poczuła łyzy w oczach. Connor także je widział i poczuł do siebie nienawiść za to, że jest ich powodem. Milczał jednak.

Patrzyli tylko na siebie. W pokoju ludzie tańczyli i śpiewali, ciesząc się Nowym Rokiem. Wokół Connora i Katy opadały delikatne płatki śniegu.

Z wolna Katy zdała sobie sprawę z kąsającego zimna. Nie wiedziała tylko, czy powodem jest pogoda, czy narastająca w głębi niej pustka. Ta pustka niewiele miała wspólnego ze stratą syna, raczej z lodowatą świadomością, że niewiele brakowałoby straciła i męża. Wymyśle znów błysnęły sceny z koszmaru: mała trumna i blada twarz Connora. Pod Katy ugięły się nogi. Connor pochwycił ją w ostatniej chwili, nim upadła na ziemię.

- Katy! - krzyknął, tym razem nie w gniewie, lecz z troską. Przyciągnął jej bezwładne ciało. Przyłgnęła do niego bez słowa. Łzy spłynęły spod powiek i potoczyły się po policzkach.

- O mało cię nie straciłam - szepnęła, zachłannie ściskając palcami jego sweter. - O mało cię nie straciłam... i nawet o tym nie wiedziałam. O Boże, Connor, o mało cię nie straciłam.

- Cicho, Katy. Wszystko w porządku. Nic mi się nie stało. Sprawiała wrażenie, jakby go nie słyszała.

- O mało cię nie straciłam. Nie wiedziałam, Connor. Przysięgam, że nie wiedziałam. O mało...

- Katy! - Wstrząsnął nią lekko, aż spojrzała na niego. Błyszczące od łez oczy wyglądały jak zmoczone deszczem szmaragdy. Równocześnie strumyki łez spływały po policzkach i jak oślepiające diamenty osiadały kroplami na długich rękach. Wolno uniośł ręce i objął dłońmi jej twarz.



- Nie płacz, kochanie. Proszę. Nie powinienem na ciebie krzyczeć. Nic mi się nie stało. Nie byłem ciężko ranny.

- Powinnam wiedzieć - szepnęła i nowa fala łez wypełniła jej oczy. - Powinnam zauważyć te sińce.

-Przestań. - Cierpiał, widząc jej ból, a równocześnie cieszył się tą troską. - Przestań, kochanie. - Bez namysłu, robiąc to, co wydawało się naturalne, pochylił głowę i ucałował mokrą od łez powiekę.

Katy wydała jakiś cichy słodki dźwięk, który przebił serce Connora niczym strzała o miodowym ostrzu. Pocałował drugą powiekę, co wywołało kolejny jęk. Nabrał śmiałości i ucałował jeden, a potem drugi mokry policzek. Katy jęknęła i sięgnęła do dłoni otaczających jej twarz.

Noc była zimna, a uczucia, które budziła w Connorze Katy, cieplejsze niż tropikalne słońce. Nie, nie były ciepłe, były gorące. A ten żar budził w nim pragnienia. A zwłaszcza jedno. Pragnął ją pocałować.

Wargi Connora na powiekach i policzkach wywoływały w niej dreszcze. Kierowana instynktem uniosła głowę i przysunęła usta na ułamek milimetra od jego warg.

Connor zawahał się, zatrzymał, potem z głębokim pomrukiem wziął, co mu ofiarowano. Nie miał właściwie wyjścia. I tak by ją pocałował. Za bardzo tego pragnął.

Ciepły jak topniejący wosk, gorący jak płomień pocałunek zmienił się z prostego i lekkiego w mocny i złożony.

Wargi, jeszcze przed chwilą delikatne jak płatki kwiatów, teraz przygniatały. Odpowiedziała tym samym i mocniej zacisnęła palce na jego dłoniach. Mocniej i mocniej, karali siebie za zbrodnie nieobecności. Próbowali zaspokoić głód, który czuli od miesięcy.

-Katy! -szepnął Connor, odrywając wargi od jej ust.



Zauważył, że drży. Odsunął się i spojrzął na nią. Płatki śniegu wirowały przy jej policzkach.

- Zmarzłaś - stwierdził.

- Tak? - szepnęła z roztargnieniem. A potem, tak prowokacyjnie, że sama Ewa byłaby z niej dumna, spytała:

- Więc czemu nie odwieziesz mnie do domu?



ROZDZIAŁ SIÓDMY

W drodze do domu ani Katy, ani Connor nie odezwali się nawet słowem.

Na czerwonym świetle, ledwie widocznym spoza gęsto sypiącego śniegu, Connor zerknął na Katy. Otulona płaszczem, siedziała obok i wpatrywała się w szybę.

Connor wykorzystał okazję, by obejrzeć ją dokładnie: poczynając od jasnych loków, po gęste rzęsy. I wargi, które całował tak niedawno.

O czym myślała?

Jakby wyczuwając to pytanie, skierowała ku niemu głowę. Spojrzeli sobie w oczy. Na ułamek sekundy świat się zatrzymał.

Przez ten ułamek sekundy dostrzegła jego ocienione zarostem policzki, podniecające ponad wszelkie wyobrażenie dłonie w rękawiczkach i wargi, na które nie mogła patrzeć bez utraty tchu.

O czym myślał?

Connor obserwował, jak w oczach Katy błyszczy pożądanie. Kiedy oblizła językiem wargi, choć z pewnością zrobiła to nieświadomie, miał wrażenie, że zwilżyła jego usta. Czuł płonący w ciele ogień.

Zanim minął Billy Graham Parkway i wjechał na podjazd przed budynkiem, który kiedyś nazywał domem, z nieba spadały już płatki wielkości ćwierć-dolarówek. Zmieniały całkiem pospolitą okolicę w dzieło zimowej sztuki. Connor wyłączył silnik. Niemal natychmiast wewnątrz wozu wypełnił chłód. To



przypomniało Katy o zimnym patio, gdzie stali razem jeszcze pół godziny temu.

- Zmarzniemy tu - rzuciła cicho, otulając się płaszczem. Connor nie zdejmował rąk z kierownicy i świadomie powstrzymywał się przed spojrzeniem na Katy. Kiedy na nią nie patrzył, miał przynajmniej szansę, że powie to, co powinien.

- Katy - powiedział chrapliwie. - Wiesz, co się stanie, jeśli wejdę, prawda?

Ta nie wyrażona wprost sugestia sprawiła, że Katy zamknęła oczy. Pod powiekami tańczyły erotyczne wizje, obrazy splecionych nagicz ciał.

- Katy? - Jeśli to możliwe głos był jeszcze bardziej chrapliwy, jak gdyby Connor kroczył po napiętej linii zmysłów, ryzykując upadek przy najłżejszej prowokacji. Otworzyła oczy i zwróciła ku niemu twarz. W świetle latarni dostrzegła, że patrzy prosto przed siebie i zupełnie niepotrzebnie zaciska palce na kierownicy.

- Tak - szepnęła. - Wiem.

To wyznanie odebrało Connorowi oddech. Mimo oporów spojrzał na nią i czas znów się zatrzymał.

- To bardzo skomplikuje nasze sprawy - odezwał się głucho. - Nic później nie będzie już takie samo. Wszystko będzie inne. My będziemy inni.

-Wiem.

- Czy naprawdę tego chcesz, Katy?

- Tak. - Słowo było zaledwie lekkim drzeniem wśród ciszy.

-Tego właśnie chcę. W tej chwili to jedyna rzecz, jakiej pragnę.

Connor przymknął powieki. Usłyszał to, na czym najbardziej mu zależało. Wciąż miał zamknięte oczy, gdy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi wozu.

Śnieg otulił Katy, gdy wyszła w zimne ramiona



nocy. Jakąś częścią umysłu akceptowała fakt, że przekroczyła granicę, zza której nie ma już powrotu. Inna część wciąż była oszołomiona wiadomością o wypadku samolotu. Nadal drżały jej dłonie. Wiedziała, że to dlatego odpowiedziała tak szczerze i otwarcie. Nie potrafiła okłamywać siebie, nie wobec takiego zagrożenia. Nawet teraz sama myśl o utracie Connora wypełniała jej serce niewyobrażalnym bólem.

Poczuła na łokciu jego dłoń. Wchodząc na stopnie, patrzeli na siebie przez gęstą zasłonę śnieżnych płatków. Bez słowa podeszli do drzwi. Katy znalazła klucz i drżącymi palcami próbowała wsunąć go do zamka. Connor pomógł jej i po chwili drzwi stanęły otworem.

Katy weszła do środka, Connor bez wahania ruszył za nią. Zdążyła zrobić jeden krok w stronę salonu, gdy poczuła, że Connor chwyta ją za rękę. Delikatnie i szorstko równocześnie odwrócił ją i przycisnął do siebie. Bez wstępów przylgnął wargami do jej ust. Chrapliwe, nierówne oddechy wypełniły mroczne, ciche wnętrze. Connor odsunął się, wciąż wyciskając dzikie pocałunki na twarzy i szyi Katy.

- Tęskniłem za tobą! - jęknął. - Boże, Katy, jak za tobą tęskniłem!

- Ja też - szepnęła, obejmując dłońmi jego głowę. Przyprószone śniegiem włosy były zimne jak jego wargi. Mimo to pragnęłaby te wargi nie odsuwały się od szyi, chyba po to, by wrócić do jej ust.

Całował ją mocno, pieszcząc i smakując językiem. Otworzyła się przed nim, a potem z wolna przejęła inicjatywę. Jęknął cicho, zsunął płaszcz z jej ramion i przytulił mocniej.

Katy westchnęła, przyciskając dłonie do jego swetra. Czowała uderzenia serca, przyspieszone pożądaniem. Naturalnym gestem przesuwiała ciało w górę i w dół,



MILCZENIE ANIOŁÓW

99

pieszcząc go tak, jak potrafi tylko doświadczona kochanka. Jęknął i przyciągnął ją mocniej -w tym zmysłowym tańcu. Po kilku sekundach odsunął się. Dyszał ciężko.

- Przestań - szepnął. - Chyba że chcesz tego tutaj.

- Czy robiliśmy to kiedyś tutaj?

Mimo napięcia ogarniającego ciało, Connor uśmiechnął się.

- Chyba nie. Ale chcę w naszym łóżku.

Katy wyczuła, że dla Connora było to ważne. Musiała przyznać, że dla niej również. Z całego domu tam właśnie tęskniła za nim najbardziej.

- Więc zaprowadź mnie do łóżka - kusiała.

Po drodze do sypialni zrzucili ubrania. Na schodach leżały rękawiczki Connora i czarne buty Katy. U szczytu zsunęła satynowe spodnie. Connor dostrzegł czarne pończochy i prowokująco kusą parę majteczek. Bez swetra i koszuli, odsłaniając nagą pierś, wkroczył do sypialni, ich sypialni, w chwili gdy Katy zdejmowała lśniący sweter.

W świetle lampy spojrzeli sobie w oczy.

Connor powoli opuszczał wzrok, chłonąc widok czarnego stanika, kryjącego piersi i ciemne cienie prześwitujące przez delikatną koronkę. Jeszcze niżej zbadał wzrokiem strzęp satyny okrywający biodra, a potem jedwab opinający nogi.

- Zapomniałem już, jaka jesteś piękna - szepnął.

- Już zapomniałam, jak piękna czuję się przy tobie. Na dzisiejszą noc zapomnijmy o wczoraj, zapomnijmy o jutrze, zapomnijmy, jak bardzo się raniliśmy, - Mówiła o zapominaniu, ale było coś, o czym nie potrafiła zapomnieć.

Ten dręczący sen. Straszna prawda, którą poznała dzisiaj.

Czuła tę trumnę, czuła unoszącą się w pobliżu śmierć.

Szeptła jej do ucha: o mało go nie straciłaś... Katy zadrżała.



- O mało cię nie straciłam - szepnęła.

- Chodź, Katy.

- Gdybym cię straciła...

- Chodź tutaj...

Coś w jego głosie przebiło barierę lęku. Podeszła wolno.

Connor opuścił głowę i musnął wargami jej usta.

- Jestem tutaj. I tutaj - powiedział, pochylając głowę, by przez koronkę pocałować nabrzmiałą pierś. Równocześnie, tak jak ongiś setki razy, sięgnął za plecy, by rozpiąć stanik. Piersi wyrwały się na wolność. Przykrył je dłonią i pocałował, szepcząc:

- Jestem tu... i tu... - Przykłęknął i ucałował skrawek satyny między nogami. - I tutaj - szepnęła gorąco, bez tchu.

Dysząc pochwyliła i przycisnęła jego głowę. Upajał się jej oszałamiająco kobiecym zapachem. Pochłaniał ich ogień, płomień niecierpliwości. Wprawnym ruchem kochanka wsunął rękę pod satynę i odnalazł złociste loki i słodkie ciało. Pocałował ją znowu, a z piersi Katy wyrwał się głęboki jęk.

Ten dźwięk, tak szczery, tak chętnie ofiarowany, rozgrzał serce Connora, wzbudził pragnienie, by zanurzyć się w tej kobiecie, w swojej żonie. Do licha, wciąż była jego żoną. Żaden wyrok, żaden sąd nie mógł tego zmienić. Całował jej brzuch, piersi, usta.

- Jestem przy tobie, kochanie. Zawsze przy tobie. Tym razem pocałunek był swawolny i zerwał cienką nitkę cierpliwości. Connor nie potrafił całować jej dość mocno i dość szybko. Katy nie mogła objąć dotykiem twardej, owłosionej piersi. Nie umiała dość szybko rozpiąć guzika jego białych spodni.

- Ja to zrobię - powiedział, popychając ją lekko na łóżko. W jednej chwili zrzucił spodnie i pozostał tylko



w bawełnianych obcisłych slipach. Chciał je zdjąć, lecz Katy pochwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Chciała się przekonać, że istnieje, że nie zginął, że naprawdę jest przy niej.

- O mało cię nie straciłam - szepnęła.

Było jej zimno, jak gdyby już nigdy nie miała się rozgrzać, jakby miała przeżyć życie w samotności. A człowiek, którego nazywała mężem, był ciepły, niewiarygodnie ciepły. Starła się go dotykać mocniej i mocniej. Gdy palce napotkały bawełniane slipy, zerwała je, szukając ciepłego ciała. I znalazła, gorące.

- Zimno - wymamrotała. - Tak mi zimno.

- Spokojnie - rzucił Connor, pomagając jej pozbyć się resztek dzielącej ich odzieży.

Sięgnęła ku niemu rozpaczliwie, przesuwając się, by go przyjąć. Connor syknął z rozkoszy i zdziwienia.

Katy jęknęła, pozwalając, by ogarnęło ją ciepło jego ciała. I nagle poczuła, że nie może się znaleźć dość blisko tego mężczyzny, na tyle blisko, by zniknął straszliwy obraz grobu.

- O mało cię nie straciłam - szepnęła, próbując gorączkowo całować go wszędzie równocześnie. - O mało cię... - całowała wargi, szyję, pierś - nie straciłam.

Connor wyczuwał, że Katy jest bliska hysterii. Zauważył, że jej oczy znów wypełniają się łzami. -Katy? - spytał szorstko, chrapliwie. -Kochanie? Wciąż go całowała, pieściła nerwowo.

- Katy? - powtórzył, próbując ją uspokoić.

- O mało cię nie straciłam - szepnęła, spoglądając oczami pełnymi łez. - O mało...

- Cicho - szepnął, zakrywając wargami jej usta.

Równocześnie pochwycił jej dłonie i przycisnął do materaca nad głową. - Cicho - powtórzył i pocałował.

Katy nie mogła jednak leżeć spokojnie. Starła się



jeszcze bardziej połączyć ich ciała. Jęknęła pod wpływem wzbierającej namiętności.

Connor czuł coraz silniejsze pożądanie. Myślał, czy nie uspokoić jej trochę, nie zwolnić, ale zrezygnował. Zresztą ta desperacja była zaraźliwa. Pragnął jej tak samo. Nie mógł już znieść rozkosznych tortur.

Katy połączyła się z nim w nagłym wybuchu. Krzyczała, wołała jego imię. A potem uspokoiili się wolno. Connor puścił jej dłonie, objął ramionami i delikatnie odwrócił oboje na bok.

Milczeli.

Śmierć także umilkła. Na jedną krótką chwilę została pokonana przez życie i miłość.

Czas mijał, odmierzany nierównymi oddechami, które uspokajały się z wolna.

Katy z głową na ramieniu Connora miała wrażenie, jakby płynęła w chmurze. Jak cudownie czuć jego owiewający ucho oddech. Czuć wargi, muskające policzek i szyję. A nawet łzy w oczach.

Kropla spływającą z oka Katy opadła na ramię Connora. To dziwne, lecz ta łza przywróciła mu poczucie rzeczywistości. Trwał w jakiejś surrealistycznej płaszczyźnie istnienia. Patrzył, lecz nie widział, słuchał i nie słyszał. W tym świecie Salvadora Dali ważne było tylko to, że znalazł się znowu w swej sypialni. Łóżko było to samo, tak samo tykał zegar i żona tuliła się do jego ramienia. Nawet ta sama fotografia syna stała na nocnej szafce. Odwrócił wzrok, uciekając przed rzeczywistością. Jednak łza Katy sprawiła, że dalsza ucieczka była niemożliwa.

Czubkiem palca ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Nie płacz - szepnął.

Ucałował jej powieki, a potem wycisnął długi, powolny pocałunek na wargach. Dotykali się oboje



nawzajem, jakby chcieli sprawdzić, że to nie sen. Katy gładziła szorstkie policzki, Connor muskał kciukiem obrzmiałe wargi. Odnalazł kuszący kark, całował skórę i bawił się włosami.

- Co zrobiłaś z fryzurą? - zapytał.

- Nie podoba ci się?

- Uwielbiam ją. Przez cały wieczór miałem erotyczne fantazje o tym, jak rozpuszczam ci włosy.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się.

- Tak. - Uśmiechnął się także i zaczął wyciągać spinki.

Włosy opadły swobodnie. Z misternie upiętej fryzury nie zostało ani śladu. Wsunął palce w miękkie pasma, unieruchomił głowę i pocałował.

- Tęskniłem za tobą, Katy - tchnął w jej usta. Oczy Katy na powrót wypełniły się łzami.

- Tak mi przykro, że nie zauważyłam, że miałeś wypadek.

- Pst, Katy. Przestań.

- Powinnaś wiedzieć, że będziesz próbował wrócić. Connor przewrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Przymknął oczy.

- Nie powinienem być na tym lotnisku. Wiem o tym. I wtedy wiedziałem. Powinienem być tutaj z tobą i...

- Nie potrafisz wymówić jego imienia?

- Potrafię, ale czuję się wtedy, jakby wyrywano mi serce - odparł szorstko Connor. Spojrzał na zdjęcie syna. Poczul ból w piersi i lekki zawrót głowy. Zaczął wstawać.

Katy chwyciła go za rękę.

- Nie, przestań już uciekać.

Connor westchnął głęboko i znieruchomiał. -Dość już raniliśmy się milczeniem. Może potrafimy się uzdrowić, a przynajmniej zacząć się leczyć słowami.

- Nawet jeśli będą ranić?



- Nawet.
- Wciąż mam do ciebie żal. Nie powinienem być na tym lotnisku, ale może nie byłbym, gdybym miał powód, by zostać w domu.
- Twój syn umierał. Czy to nie dostateczny powód? Potrzebował cię. Ja cię potrzebowałam.
- Do licha, Katy, ja też cię potrzebowałam! Wiem, że większość czasu musiałaś poświęcić Patrickowi, ale mnie też byłaś potrzebna. Bałem się. Nigdy wcześniej nie widziałem śmierci, śmierci kogoś, kogo kochałem. Niemal szalałem ze strachu.
- A ty myślisz, że ja się nie bałam? Że nie byłeś mi potrzebny?
- Znowu na siebie krzyczymy - zauważył spokojnie Connor.
- Uznajmy na razie, że gniewamy się na siebie. - Katy westchnęła. - Czy ten gniew jest usprawiedliwiony czy nie, to nie ma znaczenia.
- Milczeli przez chwilę. Po prostu leżeli obok siebie.
- Zazdroszczę ci łez - odezwał się w końcu Connor.
- Czy tak trudno po nim płakać?
- Gdy nie odpowiadał, Katy dotknęła szorstkiego policzka. Spojrzał na nią.
- Mówisz tak, jakbym miał wybór.
- A nie masz?
- Nie - odparł niechętnie. - Nic nie rozumiesz. Łzy po prostu nie przychodzą. Może zmyłyby ból, może wypełniłyby pustkę.
- Tak - przyznała. - Może łzy wypełniłyby pustkę. Znowu umilkli.
- Co teraz zrobimy, Katy?
- Nie wiem.
- Wszystko co wiem, wszystko co czuję - powiedział Connor - to, że cię kocham. Zawsze cię kochałem i zawsze będę. Żaden świstek papieru tego nie zmieni.



Katy nie odpowiadała. Sama nie wiedziała, co czuje.

- Raz mnie oszukałaś, ale drugi raz na to nie pozwolę. Jeśli mnie nie kochasz, chcę, byś mi to powiedziała.

-Connor...

Uniół się na łokciu, pochylając się nad nią w cudownie erotyczny sposób.

- Powiedz, że mnie nie kochasz.

- Connor, to nie takie proste...

- To jest proste. Zaczęła ogarniać ją panika.

- Czy ma znaczenie, co czujemy do siebie?

- Powiedz, że mnie nie kochasz - nalegał. Wreszcie Katy nie mogła już tego znieść i uniosła się na łóżku. Connor chwycił ją za rękę, przewrócił na plecy, ujął twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

- Godzinę temu wpadłaś niemal w histerię, gdy dowiedziałaś się, jak niewiele brakowało, bym zginął. Czy to ci nic nie mówi?

- Co z tego, że powiem to, co chcesz usłyszeć? To tylko skomplikuje sprawę. Nie zmieni faktu, że wciąż jesteśmy na siebie rozgniewani. Wciąż nie potrafimy rozmawiać, nie krzycząc.

- Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz?

- Niczego nie chcę powiedzieć! Niecierpliwie, szorstko rozsunał kolanem jej nogi i wszedł w nią bezlitośnie. Katy wygięła plecy w łuk.

- Powiedz, że mnie nie kochasz - zażądał, cedząc słowa przez zęby.

Katy chwyciła go za ramiona, przygryzając dolną wargę.

- Powiedz... że... mnie... nie... kochasz!

-Nie - szepnęła.-Nie...tak...to niczego nie zmieni.

- Powiedz! - powtórzył, ruchem ciała wymierzając rozkoszną karę.



- Kocham cię! - krzyknęła Katy z ulgą, z gniewem, a łzy jeszcze raz zaszklily jej oczy. - Kocham cię... kocham...

Zakrył wargami jej usta, a potem kochał ją bardziej delikatnie, niż sądziła, że to w ogóle możliwe.

I co teraz zrobić? To pytanie dręczyło Katy, gdy rankiem stała przy oknie, spoglądając na białą krainę czarów.

Czterdzieści minut temu wysunęła się z ramion Connora, narzuciła ciepły szlafrok i mijając rozrzucone ubrania dotarła do kuchni, by nastawić kawę. Teraz trzymała parujący kubek i próbowała uporządkować własne uczucia. Nieodparcie nasuwał się tylko jeden wniosek: była zakochana we własnym mężu. Było to proste, póki sobie nie przypomniała, że tryby sądowej maszyny zostały puszczane w ruch i że Connor za dziesięć dni zostanie uznany za jej byłego męża.

Dziesięć dni! Co ma robić? Co chce zrobić?

Gdy ramiona Connora otoczyły ją nagle, wiedziała dokładnie, co chciałyby zrobić w tej chwili. Oparła się o niego, jakby pragnęłyby pomógł jej nieść ten ciężar.

- Mam propozycję - powiedział, jakby zdając sobie sprawę, o czym myśli. - Jeszcze przez parę dni spróbujmy nie podejmować decyzji. Wiemy, że wciąż się kochamy, ale wiele zostało jeszcze do wyjaśnienia. Czy chcemy wycofać pozew? Czy wolimy, by zapadł wyrok? A jeśli wycofasz pozew, co wtedy? Czy możemy żyć razem, jakby nic się nie stało? I co z tym gniewem, który wciąż w sobie nosimy?

Katy odwróciła się w jego ramionach i spojrzała mu w twarz. Brodę i policzki miał niemal czarne od zarostu. Widok był tak podniecający, że poczuła skurcz w żołądku.

- Chcesz trochę kawy? - spytała schrypniętym głosem.



- Tak - odparł. - Ale najpierw trochę ciebie. Pochylił głowę i pocałował ją. Pocałunek był wolny i gorący. Oboje zapragnęli czegoś więcej. O wiele więcej.

- Chociaż, kiedy się zastanowię... - rzekł Connor. - Lepiej wyjdę, póki jeszcze potrafię.

- Dlaczego musisz wyjść? - spytała, rozczarowana.

- Pracuję dzisiaj. Zgodziłem się wziąć świąteczny dyżur. - Uśmiechnął się. - To marna alternatywa wobec tego, co mam na myśli. Może zorganizujemy coś na wieczór.

- Zapraszasz mnie na randkę? - Katy uśmiechnęła się także.

- Tak, dokładnie to robię.

- O siódmej?

- O siódmej.

Pocałował ją raz jeszcze i wyszedł. Idąc do samochodu pytał sam siebie, co właściwie robi.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Connor wrócił wieczorem i przyniósł bukiet kwiatów, który przyjęła zawstydzona, jakby był jej starającym. I w pewnym sensie był nim, gdyż oboje czuli, że ich związek zaczął się na nowo.

Ponieważ był Nowy Rok, Katy przygotowała tradycyjny posiłek z czarnego grochu i kapusty. To pierwsze miało w nadchodzącym roku przynieść powodzenie, to drugie dużo pieniędzy. Żadnej z tych rzeczy Katy nie potrzebowała tak bardzo, jak odrobiny spokoju, ukojenia duszy. Connor oświadczył, że po tej nocy wszystko będzie inne. W pewnym sensie miał rację, w innym jednak mylił się zupełnie. Katy pozostała niepewna jak zawsze, a nawet, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej.

Żadne z nich nie mówiło jednak o niepewności, ani o tym, że za kilka dni, dokładnie cztery, minie rok od śmierci ich syna. Żadne nie mówiło o tym, co czeka ich nocą. Czy znowu spędzą ją razem? Zamiast tego rozmawiali o pogodzie. Zimno, prawda? Wszystko wygląda przepięknie, pokryte białym śniegiem. Czy David dobrze się bawił, lepiąc bałwana?

O to spytał Connor, gdy Katy powiedziała mu, gdzie była po południu. Tak, odparła, dodając, że pytał o niego. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów Connor poczuł zadowolenie.

- Wiesz, chcę wyrwać się z pracy trochę wcześniej i zabrać go na „Piękną i Bestię” - oznajmiła po kolacji,



kiedy sprzątnęli naczynia i usiedli w salonie: Connor na fotelu, a Katy na sofie. Ogarnęło ich dziwne zakłopotanie.

- Czekaj, czy ja dobrze zrozumiałem? - Connor uśmiechnął się. - Chcesz, żebym poszedł na wagary?

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem.

- Spróbuję coś zorganizować. O której zaczyna się film?

- Za piętnaście piąta.

- To może wpadnę po ciebie o czwartej i razem pojedziemy po Davida. Potem mogę nawet postawić wam pizzę.

- To brzmi jak propozycja nie do odrzucenia.

- Więc załatwione. Zegar wybił dziesiątą.

- No cóż. - Connor wstał nagle. - Lepiej już pójść. Jeśli jutro mam wcześniej wyjść z pracy, to muszę wcześniej przyjść.

Kty także wstała, zadowolona, że problem wieczoru został rozwiązany. Connor nie zostanie na noc. Co czuła teraz?

Ulgę? Rozczarowanie? Jedno i drugie. No dobrze, więcej rozczarowania.

Connor ruszył do drzwi, znalazł swoją skórzaną kurtkę i narzucił ją na ramiona.

- Dzięki za kolację.

- Nie ma za co - odparła. - Dziękuję za kwiaty.

Zakłopotanie narastało.

Nagle Connor wsunął palce w szlufki dzinsów Katy i przyciągnął ją do siebie. Bez słowa przykrył wargami jej usta. Pocałunek był mocny i pewny, lecz opanowany.

Odsunął głowę i spojrzał jej w oczy.

- Chcę zostać tu na noc - oświadczył. - Chcę kochać się z tobą, aż padniemy oboje. I dlatego właśnie wychodzę.

Muszę myśleć rozsądnie, a w łóżku to niemożliwe.



- Nie - przyznała.

- Nie - powtórzył. Już teraz zaczynał myśleć nierozsądnie.

Jęknął. - Przedpokój wydaje mi się coraz bardziej odpowiednim miejscem do miłości. - Pocałował ją szybko, ale mocno, potem odwrócił się i otworzył drzwi. -

Zobaczymy się jutro.

Patrzyła, jak odchodzi, jak samochód wjeżdża na ulicę i znika. Już czuła się samotna. Właściwie mógł zostać, przemknęła jej niewyraźna myśl. Tylko jedno wiedziała dokładnie: wciąż była zakochana w swoim mężu. Problem w tym, że wkrótce będzie on eks-mężem.

David nigdy nie był w kinie. Gdy zgaszono światła, Przestraszył się i dopiero cierpliwe wyjaśnienia Connora przekonały go, że nic mu nie grozi. Mimo to, *kiedy Bestia na ekranie ryknęła, malec zaczął płakać*. Connor wziął go z fotela i posadził na kolanach, Szepcząc do ucha, że Bestia tylko udaje, a tak naprawdę jest bardzo dobrą Bestią.

Chłopiec nie jadł też jeszcze pizzy. Katy pokazała mu, jak to się robi i po chwili mały był od ucha do ucha wysmarowany keczupem. Później, gdy wracali do izby dziecka, zasnął na tylnym siedzeniu.

-Jesteś strasznie milczący - stwierdziła, gdy jechali Przez pokryte mokrym śniegiem ulice.

- Jestem zły.

- O co?

- O to, że David nigdy nie był w kinie, nigdy nie jadł pizzy. Boże, jakie życie prowadził ten chłopak. Jasne, facetowi, który bije, a potem porzuca swoje dziecko, brakuje wrażliwości, by zabrać je do kina. Drań! Jak wytrzymujesz, pracując dzień w dzień nad takimi sprawami?

- Na ogół w końcu zwycięża sprawiedliwość. Na



przykład dzisiaj sporządziliśmy akt oskarżenia przeciwko Howardowi Easonowi o znęcanie się i porzucenie. Zapłaci za to. Bracia Davida też już przeszli pod opiekę państwa.

- I co się teraz z nimi stanie? Co będzie z Davidem?

- Będą przedstawieni do adopcji.

- A jakie ma szansę na adopcję?

Katy zauważyła, że zadał pytanie w liczbie pojedynczej.

Spojrzała przez ramię na śpiące dziecko. Z rozwichrzonymi jasnymi włosami i pełnymi rumianymi policzkami wyglądał bardziej jak aniołek niż chłopiec. Poczuła, że coś zaciska jej krtań.

- Niezbyt duże - odparła, - Większość małżeństw chce zaadoptować niemowlę, a nie starsze dziecko. Zwłaszcza dziecko z problemami emocjonalnymi.

Connor zatrzymał wóz na parkingu przed izbą dziecka.

Wyłączył silnik i z lekkim uśmiechem spojrzał na Katy.

- Widziałem, że się rozplakałaś na filmie. Oblała się rumieńcem.

- Nie powinieneś tego zauważyć.

- Ostatnio zauważam wszystko, co dotyczy ciebie: twoje włosy, oczy, usta i uczucia, jakie we mnie budzisz.

- A jakie to uczucia?

- Jakbyś właśnie zderzyła się ze mną i rozsypała książki.

Nie mogłem wtedy złapać tchu i teraz też nie mogę. A jakie ja budzę uczucia w tobie?

- Jakby właśnie najechała na mnie ciężarówka. Albo jakbym wylądowała na obcej planecie. Jakbym nie miała pojęcia, czego chcę. - Jeśli sądziła, że się uśmiechnie, doznała rozczarowania. Nawet cień uśmiechu nie pojawił się na jego ustach.

- Powiedz mi, Katy, jak to się skończy? Czy będziemy żyli długo i szczęśliwie, jak na filmie? Czy



odejdziemy od siebie, jakby te szesnaście lat się nie liczyło?

Jak mogła odpowiedzieć, jeśli sama nie miała pojęcia.

- Connor...

-Wszystko w porządku. Też nie wiem, czego chcę. Nie, to nieprawda. Jedno wiem. Chciałbym mieć cię w łóżku przez co najmniej tydzień.

Katy poczuła, że robi się jej gorąco. Nagle z tylnego siedzenia dobiegł jakiś szelest.

- Wezmę go. - Otworzył drzwi i przeszedł do tyłu. - Cześć, kolego.

Odpiął pasy i wziął zaspane dziecko na rękę.

David otworzył oczy, zobaczył, że to Connor i zasnął znowu, opierając policzek o pierś mężczyzny. Connor czuł się opiekunem tego małego, zranionego dziecka. Dziwne, lecz wydało mu się, że przez parę sekund odczuwa to samo, ten sam nawrót lęku, jaki przeżył otoczony legionem fotografii syna. Trwało to kilka uderzeń serca, a raczej kilka urywanych oddechów i jeden zawrót głowy.

- Dobrze się czujesz? - spytała Katy.

- Tak, dobrze - odparł i ruszył do drzwi.

Z pomocą Connora Katy przebrała Davida w piżamę w Wojownicze Żółwie i ułożyła w łóżku.

- Mogę dostać jemiolowy uścisk? - zapytała.

Od Bożego Narodzenia, kiedy pozwolił przytulić się Connorowi, David wprawdzie niechętnie i rzadko, ale pozwalał na uściski, jednak nigdy bez jemioly. Trochę już przywydły krzaczek, przywiązany do łóżka chłopca, dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Dzięki tradycji jemioly chłopiec pozwalał na przytulanie bez obawy, że ktoś go skrzywdzi. Tak przynajmniej twierdził psycholog.

David objął rączkami szyję Katy. Uściśnęła go mocno.



- Wciąż nikomu nie pozwala się przytulić bez jemioty? - zapytał Connor, wioząc ją do domu.

- Nie - odparła, wyjaśniając teorię psychologa.

- Ciekawa koncepcja. Może nam wszystkim przydałoby się trochę jemioty, jeśli naprawdę chroni przed bólem.

Po dwudziestu minutach zapragnęła choćby gałązki, gdyż pozostała sama przy drzwiach, czując się niewiarygodnie rozczarowana. Zamiast pocałować ją na dobranoc tak jak wczoraj, Connor spojrział jej głęboko w oczy i wolno, zmysłowo przesunął kciukiem po jej dolnej wardze. A potem odszedł bez słowa.

Nie wiadomo dlaczego Katy miała ochotę krzyczeć.

- Ricky, natychmiast przestań wrzeszczeć! I przestań biegać! - zawołała Janna dwa dni później, w sobotnie popołudnie.

- Goni nas oślizły potwór - wyjaśnił malec, przebiegając obok.

Janna chwyciła syna za ramię.

- Nie interesuje mnie, kto cię goni. Żadnego biegania, żadnych krzyków w domu. Jasne? - Uśmiechnęła się do Davida, który nagle stracił pewność siebie. - Wszystko w porządku. Nie mam do ciebie pretensji. - I dodała, zwracając się do syna: - Nie chciałbyś pokazać Davidowi i cici Katy kociąt?

- Śmietanka ma trzy małe - oświadczył Ricky z błyskiem w oku, jakby uwolniony nagle od oślizłego potwora.

- To twój kot? - spytał David.

- Aha - potwierdził Ricky, prowadząc ich do łazienki, którą kotka wybrała na poród.

- Tylko powoli otwieraj drzwi - ostrzegła Janna. - Nie chcesz chyba wystraszyć kociąt. Mogą spać.



Zgodnie z poleceniem matki Ricky wolno otworzył drzwi. W ciemnym pomieszczeniu stało kartonowe pudło wyłożone miękkim materiałem. Obok siedziała puszysta biała kotka, podejrzliwie spoglądając na tych, którzy zakłócali jej spokój.

- W porządku, Śmietanko - powiedziała miękko Janna. - Chciałam się tylko pochwalić twoimi dziećmi.

Śmietanka pozwoliła Jannie podnieść trzy śpiące kociaki. Dwa były całkiem białe i przypominały kule cukrowej waty, trzeci miał czarne łatki.

David wpatrywał się w nie w milczeniu.

- Siadaj - powiedziała Janna. - Możesz jednego potrzymać. Ze wzruszającą delikatnością pogładził głowę kociaka, którego Janna położyła mu na kolanach.

- Wyszły z brzucha Śmietanki - oznajmił Ricky.

- A skąd się wzięły w jej brzuchu? - spytał zdziwiony David.

- Urosły tam. Wyszły, kiedy chciały się urodzić.

- Jak się dostały do brzucha?

- Kot tatuś tam je wsadził. To się nazywa „seks”.

- Dziękuję, Ricky, że podzieliłeś się z nami wiedzą - wtrąciła Janna. - Sądzę jednak, że Davida bardziej zaciekawi Trójnóg.

- Trójnóg ma tylko trzy nogi - wyjaśnił Ricky, sięgając po łaciatego kotka.

- Trzy nogi? - zdziwiła się Katy, siadając obok Davida.

- Tak. Urodził się z trzema nogami. Kiedy wezwałam weterynarza, powiedział, że wprawdzie nie jest to normalne, ale taki przypadek czasami się zdarza.

Tymczasem Ricky podał Katy łaciatego kotka.

- No, rzeczywiście. Patrz, Davidzie, ten kociak ma trzy nogi.

- Koty powinny mieć cztery nogi - oznajmił David.



- Zgadza się, ale ten urodził się z trzema.
- Dlaczego? - zdziwił się chłopiec.
- Bóg chciał, żeby był wyjątkowy - wyjaśniła Katy.
- Śmietanka chyba wiedziała, że jest wyjątkowy
- zauważyła Janna. - Poświęcała mu tyle czasu, że dwa pozostałe prawie głodowały. Gdybyśmy przez pierwszy tydzień nie karmili ich zakraplaczem, nie jestem pewna, czy by przeżyły. Teraz już są zaradne i same szukają pożywienia.
- Śmietanka ma sutki - oznajmił Ricky. - Dużo. Tamtędy karmi swoje dzieci.
- Dbą o te dwa kotki, liże je czasem tak, aż się boję, że zliże im całe futro. Ale wyglądało na to, że na pewien czas zapomniała o nich.
- Głupio by wyglądały bez futra - zachichotał Ricky. Katy jednak nie słyszała śmiechu. W pamięci zabrzmiały oskarżenia Connora. Czyżby miał rację? Czy zachowała się jak Śmietanka?
- Katy? - Uniosła głowę. Widząc zmarszczkę na czole Janny, domyśliła się, że nie pierwszy raz ją woła.
- Dobrze się czujesz?
- Bardzo dobrze. - Uśmiechnęła się, zawstydzona. Oddała kotka Jannie.
- Po chwili wszyscy wyszli z łazienki, a kocięta zasnęły.
- Ricky, może pójdziecie się bawić do twojego pokoju, a my z ciocią napijemy się kawy.
- Chodź - rzucił Ricky nowemu koledze. David z niepokojem spojrział na Katy.
- W porządku, skarbie. - Pochyliła się nad nim.
- Będę tutaj. W każdej chwili możesz do mnie przyjść.
- Zrobię wam czekoladę - zaproponowała Janna.
- Ze śmietanką? - roześmiał się Ricky.
- Ze śmietanką - zgodziła się i zachęciła Davida



pytaniem: - Może chcesz zobaczyć, co Ricky dostał pod choinkę?

- Dostałem teleskop — pochwalił się chłopiec. - To instrument, przez który patrzysz na gwiazdy.

- Gwiazdy? Takie jak na niebie?

- Aha - potwierdził Ricky. - To dlatego wymyśliłem Trójnogowi takie imię. Teleskop stoi na trójnogu. Chłopcy ruszyli w stronę pokoju Ricky'ego.

- Czy on cię często zaskakuje? - Katy uśmiechnęła się.

- Cały czas - odparła Janna i zaraz spoważniała. - David jest kochany.

-O tak.

- Jest teraz pod opieką państwa?

- Tak - przytaknęła Katy, przekazując Jannie najważniejsze wieści.

- Czy David tęskni za braćmi?

- Trudno powiedzieć, ale nie wygląda na to. Nie wspomina o nich. Tak jakby musiał zamknąć się w sobie, by przetrwać.

- To dość typowe. - Coś w głosie Janny obudziło w Katy wrażenie, że ta uwaga była skierowana do niej. -Zaczekaj chwilę, kawa jest już gotowa. Muszę jeszcze zrobić czekoladę.

Najbliższe dziesięć minut minęło wśród mieszanej dźwięków. Katy słyszała brzęk porcelany, gdy Janna nalewała kawę i głos przyjaciółki, opowiadający o świętach w domu teściów. Słyszała także swoje myśli. Mówiły one o kotce, która zaniedbała dwa idealne kociaki, by zająć się tym jednym, nie tak idealnym.

- Katy?

Zakłopotana, uniosła głowę.

- Co się dzieje? - spytała Janna. - Jesteś dzisiaj psychicznie nieobecna.



- Czy mogę cię o coś zapytać i otrzymać szczerą odpowiedź? - Katy spojrzała na nią z uwagą.

- Wiesz, że nigdy bym cię nie okłamała.

- Nie, nigdy byś mnie nie okłamała - przyznała Katy. - Ale mogłabyś ominąć prawdę. Na przykład, żeby mnie nie zranić.

- Wzbudziłaś moją ciekawość.

Katy odetchnęła ciężko, nagle niepewna, co robić dalej. Jedynym wyjściem był skok na głęboką wodę.

- Czy zachowywałam się jak Śmietanka?

Janna najwyraźniej nie spodziewała się takiego pytania.

- O czym ty mówisz?

- Czy poświęciłam Connora dla Patricka?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Connor coś takiego powiedział, a teraz cała ta sprawa z kotem...

Janna wstała i dołała sobie kawy.

- Czy jesteś pewna, że prosząc o prawdę, rzeczywiście chcesz ją usłyszeć?

- No cóż, to właściwie odpowiada na moje pytanie.

- Mylisz się. Nawet nie zbliżyłam się do odpowiedzi. -

Znowu usiadł przy stole. - Katy, musisz zrozumieć, że spotkało cię jedno z najbardziej bolesnych doświadczeń. - Janna uściśnęła dłoń przyjaciółki. - Chcę, byś wiedziała, że naprawdę nie wierzę, bym miała tyle odwagi co ty. Gdyby to Ricky umarł, musielibyście pochować mnie obok niego.

- Nie doceniasz siebie - zauważyła Katy.

- Może. Jako psycholog nieraz widziałam, że duch ludzki nabiera sił stosownie do potrzeb. Ale teraz mówię jako matka i jako matka nie wiem, jak tego dokonałaś. Ale udało ci się przeżyć ten koszmar. Connor też znalazł sposób.



- Niestety, nie znaleźliśmy sposobu, by przeżyć ten koszmar razem. - Katy uśmiechnęła się ze smutkiem.
- To prawda - przyznała Janna. - Lecz statystycznie rzecz biorąc, wiele małżeństw rozpada się po stracie dziecka.
- Statystyka nie daje pocieszenia. - Katy westchnęła. - Więc taktownie próbujesz mi powiedzieć, że to ja jestem odpowiedzialna za rozbite małżeństwa.
- Nie. To byłaby zbyt prosta odpowiedź na bardzo złożone pytanie. Spytałaś, czy zachowywałaś się jak Śmietanka. Moja odpowiedź, jako psychologa, brzmi: tak. Wszystkie swoje uczucia poświęciłaś Patrickowi. Dla Connora nie zostało nic. Ale, i tu znów bardzo ważna sprawa, starałaś się...
- Czemu mi nie powiedziałaś, co robię? - W oczach Katy rozbłysły łzy.
- Ponieważ jestem twoją przyjaciółką, a nie terapeutką. Ponieważ nie byłaś gotowa, by tego wysłuchać. Ponieważ potrzebowałaś całego roku, by w końcu zadać to pytanie. Katy wstała i podeszła do okna. Świeciło słońce. Ze śniegu nic już nie pozostało, jedynie w cieniu przetrwały niewielkie łąty.
- Nie jestem pewna, czy to pytanie przysłoby mi do głowy, gdyby Connor mnie nie oskarżył, że go zaniedbywałam. Że odwracałam się od niego, zmuszałam, by coraz więcej czasu spędzał poza domem.
- Więc rozmawiacie o tym?
- Chyba tak można by to określić. - Katy odwróciła się na pięcie i spytała: - Wiedziałaś, że niewiele brakowało, a zginąłby tej nocy, gdy umarł Patrick?
- Tak - potwierdziła spokojnie Janna. Opanowanie Katy prysnęło niczym mydlana bańka.
- Czemu mi nie powiedziałaś?



- Spróbuj zrozumieć. Connor także jest naszym przyjacielem. Kiedy poprosił mnie i Johna, żebyśmy nic nie mówili, nie mieliśmy wyboru. Gdybyś ty nas prosiła, zrobilibyśmy to samo.

Katy przeczesała palcami włosy i usiadła przy stoliku.

-Och, Janno, jestem taka zagubiona. -Zastanawiała się, ile powinna powiedzieć. Czy chciałaby całkiem otworzyć serce? - Nie wiem, czy wycofać wniosek o rozwód - oświadczyła nagle.

Janna gwizdnęła cicho.

- Rozumiem, że ty i Connor odbyliście poważną rozmowę.

- Właściwie - odparła Katy - było to coś więcej niż rozmowa. -A widząc zaskoczony wzrok Janny, dodała: - Spędziliśmy razem sylwestrową noc.

Twarz przyjaciółki rozjaśnił uśmiech.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - ostrzegła Katy. -To nie znaczy, że cokolwiek się zmieniło. Jeśli to w ogóle możliwe, sprawy są jeszcze bardziej skomplikowane. Jestem bardziej zagubiona niż kiedykolwiek w życiu. Oboje jesteśmy zagubieni.

- To dobrze.

- Co to znaczy: dobrze? Janna wciąż się uśmiechała.

- Nic, mów dalej.

- Co mam mówić? - spytała zrozpaczona Katy. - Że wciąż pasujemy do siebie w łóżku, że wciąż się kochamy, a do rozwodu zostało parę dni?

- To, że wciąż się kochacie, powinno mieć jakieś znaczenie.

- Nie wystarczyłoby powstrzymać rozstanie.

- Ale z początku wystarczyłoby doprowadzić do małżeństwa. Wystarczyłobyście przez tyle lat żyli razem. I wystarczyłobyście spotkali się znowu w sylwestra, po najstraszniejszym roku w waszym życiu.



- Ale to nie dość, by wyleczyć ból. A ty mi teraz mówisz, że jestem odpowiedzialna za to, co się stało, że gdybym nie poświęcała tyle energii i czasu Patrickowi...

- Wróć! - przerwała Janna. - Jesteś może odpowiedzialna za jedną czy drugą falę, ale nie za sztorm, który rozbił wasze małżeństwo. Do udanego małżeństwa potrzeba dwojga i dwoje odpowiada za jego porażkę. Connor też musi uznać swoją odpowiedzialność.

- Ale mówiłaś...

- Mówiłam, że popełniałaś błędy. Connor również.

- Jakie błędy?

- Connor powinien zapytać sam siebie, dlaczego bez oporu dał się odsunąć. Dlaczego uciekł, zamiast zostać i o ciebie walczyć.

- Sądzisz, że chciał, żebym go odepchnęła, nawet jeśli teraz. mówi, że go zraniłam?

- Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

Przez resztę wieczoru Katy rozmyślała o uwagach przyjaciółki. Miała nadzieję, że Connor przynajmniej zadzwoni. Nic z tego. Z samotności poczuła rosnącą depresję.

Następny dzień, sobota, był rocznicą śmierci Patricka. Jeden długi rok, myślała Katy, chodząc po zbyt dużym teraz domu. Przed południem nie było telefonu. Sama przed sobą próbowała udawać, że to bez znaczenia, ale nie potrafiła. Tęskniła za nim. Strasznie.

Później nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego akurat ten dzień wybrała by wysprzątać pokój Patric-ka. Opróżniła szafy i pudła z zabawkami. Parę zostawiła dla Davida, resztę przygotowała by zanieść do domu dziecka. Starła się nie myśleć, co przy tym czuje. Wzięła prysznic, ubrała się i pojechała na cmentarz.



MILCZENIE ANIOŁÓW

Tam właśnie spotkała Connora. Wtedy zrozumiała, jak bardzo nie chciała przeżyć tego dnia samotnie. Tym razem Connor usłyszał, jak nadchodzi-

- Cześć - powiedział, gdy stanęła obok.
- Cześć - odparła.

Zauważyła samotną różę na grobie. Ułożyła obok bukiet kwiatów, wiedząc, że do jutra wszystkie będą martwe.

Delikatne płatki nie przetrwają chłodu nocy. Czy ich małżeństwo przetrwa emocjonalny chłód minionego roku?

- Właśnie wróciłem do miasta - powiedział, trzymając dłonie w kieszeniach lotniczej kurtki. - Dostałem zlecenie. Próbowałem zadzwonić, ale nie było cię w domu.

Katy poczuła ulgę. Próbował się skontaktować.

- Musiałam gdzieś wyjść.

Wiatr poruszył poskręcany gałęziami wiązu. Czarny zimowy ptak zakrakał żałośnie. Anioły patrzyły, słuchały, lecz nie odzywały się ani słowem.

- Nie mogę uwierzyć, że to już cały rok - rzekł Connor.
- Ja też nie. Choć z drugiej strony wydaje się, że to całe wieki temu. Może nawet w innym życiu.

- Tak - przyznał matowym głosem, po czym dodał z trudem: - Czy... czy sądzisz, że on nas widzi?

- Staram się w to wierzyć, chcę w to wierzyć, ale naprawdę nie wiem.

Zapadła cisza.

- Dzisiaj uprzątnęłam jego pokój - oświadczyła Katy.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem. - Oddam jego rzeczy do domu dziecka, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dobrze. To znakomity pomysł. Było mi trudno przyjść tu dzisiaj - wyznał po chwili ciszy. - Trudniej niż kiedykolwiek.



- Mnie też było trudno. Jednak nie chciałam być sama.

- Czy ze mną jest ci tu łatwiej?

-Tak.

-Dla mnie też to jest łatwiejsze, to znaczy z tobą...

- Connor... - zaczęła Katy z wahaniem, lecz zmusiła się, by kontynuować. - Przykro mi, że cię odepchnęłam. Nie miałam tego zamiaru. Tylko... tylko że nasz syn umierał, a ja nie wiedziałam, co robić. Bałam się, cierpiałam, byłam zła i... przeżywałam miliony innych uczuć, których nawet nie potrafię nazwać.

Gdy mówiła, łza spłynęła po jej policzku.

- Przestań - powiedział Connor i nie było jasne, czy chodzi o przeprosiny, czy o łzy. Może o jedno i drugie. - Też popełniłem błędy. Całe mnóstwo. Zbyt wiele, by je liczyć. Kolejna łza spłynęła za pierwszą. Potem jeszcze jedna. Zła na siebie, Katy odwróciła się i próbowała opanować. Łzy jednak nie słuchały rozkazów.

- Do licha, chyba się rozplaczę. Connor odwrócił ją i chwycił w ramiona.

- Wszystko w porządku, skarbie - szepnął. - Płacz. Płacz za nas oboje.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na biurku Katy zadzwonił telefon.

- Katy McKellen.

- Cześć.

Na dźwięk głosu Connora poczuła, że miękną jej kolana, niczym nastolatce. Przez całą noc myślała o nim i nawet nie zmrużyła oka. Coś zaszło wczoraj między nimi, na cmentarzu. Narodził się jakiś związek. Wiedziała o tym, choć nie potrafiła tego wyjaśnić. To przeżycie było dla niej oczyszczeniem. Uwolniła się od przeszłości.

- Cześć - odpowiedziała.

Przez całą noc myślał o Katy. Coś się wydarzyło między nimi na cmentarzu. Nigdy nie czuł się jej bliższy niż wczoraj, gdy trzymał ją w ramionach.

- Co robisz?

- Pracuję - odparła. - A przynajmniej próbuję.

- A co ci przeszkadza?

- Ty.

To szczere wyznanie sprawiło, że serce Connora zaczęło bić nierównym rytmem. Od Nowego Roku nawet jej nie pocałował. Z początku sądził, że im mniej będzie fizycznych kontaktów, tym lepiej przygotują się do podjęcia decyzji o przyszłości. A teraz nie śmiał jej całować. Za bardzo jej pragnął.

- Też nie mogę pracować - odparł chrapliwie. Katy poczuła dreszcz. Connor pociągał ją zawsze, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Powtarzała sobie, że



wystarczyłby jej jeden pocałunek, choć dobrze wiedziała, że nawet nie zmniejszyłby płonącego w niej ognia.

- Chciałbyś zajrzeć wieczorem? - spytała.

- Niczego bardziej nie pragnę, ale nie mogę. Dlatego dzwonię. Muszę na parę dni wyjechać z miasta.

- Och - jęknęła Katy, nie próbując nawet ukryć rozczarowania.

- Lecę do Fayetteville.

Słyszac słowo „lece”, Katy nerwowo przełknęła ślinę.

- Czy ktoś zawiezie cię na lotnisko?

- Zostawię wóz na parkingu. Ale dzięki za propozycję.

- Nie ma za co.

- Słuchaj, Katy, kiedy wrócę, musimy porozmawiać. Nie wiem, jak ty, ale ja tak dłużej nie mogę. Muszę wiedzieć, co robimy dalej.

- Ja też - wyznała.

- Możesz chwilę poczekać? - Słyszała jego stłumiony głos, gdy rozmawiał z kimś innym. Potem znowu odezwał się do słuchawki: - Muszę już iść, bo spóźnię się na samolot.

Zadzwoń do ciebie po powrocie.

-Dobrze - odparła. A słysząc pędzącą ku niej ciszę, dodała:

- Connor?

- Tak?

- Uważaj na siebie.

- Oczywiście, skarbie - odpowiedział po chwili milczenia.

Odłożyła słuchawkę, lecz słowo „skarbie” długo rozbrzmiewało w jej uszach. Przez resztę dnia była roztargniona, dzieląc uwagę między pracę a Connora.

Gdzie jest teraz? Jak długo trwa lot do Fayetteville? Co postanowią, gdy wróci? Pod koniec pracy była wyczerpana i nie cieszyła ją perspektywa samotnego wieczoru. Jak zwykle, przejeżdżała obok izby



dziecka. Pod wpływem impulsu zwolniła Davida i zabrała go ze sobą. Po drodze zatrzymali się w wypożyczalni kaset i wzięli „Sto jeden dalmatyńczyków”. Oglądali film przy obiedzie złożonym z hamburgerów, frytek i koktajlu.

- Dlaczego te psy mają wysypkę? - spytał David.
- To nie jest wysypka, kochanie. - Katy uśmiechnęła się. - To są plamki. Dalmatyńczyki już takie się rodzą. Wszystkie pieski tej rasy mają plamki.

- Dlaczego?

- Tak już jest.

- To wygląda jak wysypka.

- Chyba rzeczywiście. - Katy uśmiechnęła się szerzej.

- Kiedyś miałem psa. - Słowa Davida padły jak grom z jasnego nieba.

Katy przyjrzała się chłopcu uważnie. Był to jeden z niewielu fragmentów jego życia, który zechciał odsłonić.

- Naprawdę? Pokiwał głową.

- Ale nie miał plamek.

- Nie miał?

Chłopiec gwałtownie zaprzeczył.

- A jakiego był koloru?

- Fioletowego.

Katy z trudem kryła rozbawienie.

- Piękny kolor dla psa. A jak miał na imię?

- Nie miał imienia - odparł David i dodał obojętnie: - On uciekł.

- To przykre.

- Daniel płakał.

Katy wiedziała, że mówi o jednym z braci.

- Musiało być mu smutno - stwierdziła. - A ty płakałeś?



Chłopiec potrząsnął głową. Nie, pomyślała Katy, on nie płacze. Był jak Connor: ukrywał cierpienie, które po trochu pożerało go od środka.

- Tęsknisz za braćmi? - spytała cicho. Chłopiec zignorował pytanie. Siedział na podłodze i bawił się wyschniętą gałązką jemiioły, którą uparł się zabrać ze sobą. Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, mogłaby przysiąc, że jej nie usłyszał.

- Davidzie! - zawołała. - Tęsknisz za braćmi? Chłopiec wciąż bawił się gałązką.

- Davidzie?

- Muszę iść do łazienki.

Katy nie była pewna, czy naprawdę musi, czy nie, ale wiedziała, że rozmowa dobiegła końca. Dziś wieczór nie dowie się już niczego.

- Wiesz, gdzie to jest - powiedziała, patrząc jak dziecko wychodzi z pokoju.

Kiedy wrócił, zachowywał się czujnie, jakby w obawie, że znów padnie pytanie, na które nie chce odpowiedzieć. Bez słowa usiadł na dywanie i znów chwycił wyschniętą jemiiołę.

- Chcesz trochę mleka? Pokręcił głową.

- Może gorącej czekolady?

Ta sama reakcja. Zanim zdążyła jeszcze coś powiedzieć, zapytał:

- Moglibyśmy drugi raz obejrzeć film?

- Oczywiście - zgodziła się od razu.

W połowie filmu David wstał z podłogi i usiadł na sofie obok Katy. Chwilę siedział machając nogami, a potem wsunął się jej na kolana. Starła się zachowywać jakby nigdy nic, lecz czuła, że jej serce rozplywa się niczym wosk. Przytuliła złotowłose piegowate dziecko.

Po chwili David zapytał cicho, nie podnosząc głowy:



- Czy mógłbym być twoim małym synkiem? Katy poczuła łzy w oczach i ucisk w gardle.

Odetchnęła głęboko, by odpowiedzieć.

- A chciałbyś? - Głos i tak drżał. Wciąż nie patrząc, David skinął głową.

- Byłbym grzeczny - obiecał. A potem dodał jeszcze: - Twój mały synek jest w niebie, więc potrzebujesz małego synka.

Nocą, kiedy już odwiozła Davida, próbowała zasnąć i nie mogła. Myślała o tej krótkiej, lecz ważnej rozmowie. Czy lekarstwo na jej wszystkie cierpienia było tak proste, że zupełnie je przeoczyła? Czy nie było oczywiste, że dwoje zagubionych, samotnych ludzi powinno się odnaleźć?

Zadzwonił telefon. Spojrzała na zegar i stwierdziła, że jest prawie dwunasta. Zmarszczyła czoło. Późny telefon mógł wróżyć coś złego. Może dzwoni ktoś z wiadomościami o Connorze? Może znowu jakieś problemy z lotem? A jeśli teraz nie miał tyle szczęścia? A jeśli...

Telefon wciąż dzwonił, a Katy patrzyła na niego.

Wreszcie, by uciszyć złowieszczy dźwięk, podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Przepraszam, że cię obudziłem - po chwili ciszy usłyszała znajomy głos.

Słyszając Connora, Katy doznała mieszanych uczuć.

Odetchnęła z ulgą, ale też zawstydziała się. Zdenerwowała się bez żadnego powodu. Connorowi nic nie groziło. Był na drugim końcu linii, zdrowy i cały. Uświadamiając to sobie, poczuła, jak wzbiera w niej lekkie podniecenie.

- Nie spałam - odparła, opierając się o poduszkę.

Głos Katy trafił Connora w samo serce. Jak śmiertelnie ranny, leżał na plecach w niewygodnym hotelowym łóżku.



- Dobrze się czujesz?
- Tak, po prostu nie mogę zasnąć.
- Ja też nie. — Pomięta pościel milcząco potwierdzała te słowa.
- Wszystko w porządku? - zapytała.
- Tak. Nie. Tęsknię za tobą jak diabli. Przymknęła oczy, pozwalając, by to wyznanie przeniknęło ją do samej głębi.
- Katy, słyszysz mnie?
- Tak - szepnęła. - Całe popołudnie martwiłam się, czy dolecisz szczęśliwie.
- Próbowałem dzwonić wcześniej, ale cię nie zastałem. Potem musiałem wyjść. Wróciłem pół godziny temu i myślałem, że śpisz. Ale w końcu było mi wszystko jedno. Musiałem usłyszeć twój głos.
- Katy rozpromieniła się. Była szczęśliwa, że myślał o niej tak intensywnie.
- Wzięłam Davida, a potem odwiozłam go do izby.
- Co z nim?
- W porządku. Oglądaliśmy na wideo „Sto jeden dalmatyńczyków”.
- Connor uśmiechnął się, gdy w jego wyobraźni przemknęły nakrapiane sylwetki.
- Mieliście szatały wieczór.
- Były świetne momenty - powiedziała. Zachowała dla siebie wzruszającą prośbę chłopca. Uśmiechnęła się tylko. - Myślał, że psy mają wysypkę.
- Connor roześmiał się. Wesołe nuty przebiegły po telefonicznej linii, by wyczyniać szaleńcze *rzeczy* z sercem Katy. Uwielbiała śmiech tego mężczyzny i tęskniła za nim, tak jak za tysiącem innych rzeczy.
- Śmiech narodził się spontanicznie i tak samo ucichł.
- Tęsknię za tobą, Katy.
- Ja też za tobą tęsknię.
- Posłuchaj... Chcę być tam z tobą tak bardzo, że



niemal czuję smak tego pragnienia. Chcę być w naszym domu, w łóżku, w tobie.

Namiętność w głosie Connora tamowała oddech.

- Powiedz, że także mnie pragniesz - rozkazał. - Powiedz, że chcesz, bym był tam z tobą, żebym cię kochał.

Ogarnął ją płomień, pochłaniając wszystko na swej drodze.

- Tak - szepnęła.

- Nie, powiedz to wszystko - żądał, błagał.

- Chcę, żebyś był tu ze mną. Chcę, żebyś mnie kochał.

Po tym namiętnym wyznaniu Katy odwróciła się na bok i podciągnęła kolana do piersi. Nie powstrzymało to bólu, nie stłumiło ognia. Odrzuciła kódrę, zastanawiając się, w jakiej temperaturze następuje zapłon satynowej piżamy.

Connor także odrzucił pościel. Lepiej by było, gdyby Katy nie spełniła jego prośby. Nie, to nieprawda. Chciał, musiał usłyszeć te słowa. A teraz chciał i potrzebował jej samej.

Jednak za tym fizycznym pożądaniem czaiło się inne, bardziej duchowej natury.

- Tęsknię za tobą, Katy.

- Ja też tęsknię...

- Posłuchaj mnie - przerwał jej desperacko. - Tęsknię za kochaniem ciebie i za tym, żebyś ty mnie kochała. Ale tęsknię też za naszym wspólnym życiem. - Jakby bojąc się, że mu przerwie, dodał: - Nic nie mów. Tylko słuchaj. Chcę przerwać proces rozwodowy. Do diabła, nie chcę tego rozwodu! Nigdy nie chciałem! - Usiadł na brzegu łóżka, wbijając bosc stopy w dywan. Niespokojnymi palcami przecesał rozwichrzone włosy. - Nie chcę tego rozwodu - powtórzył spokojniejszym głosem. - Chcę wrócić do domu. Chcę, żeby wszystko było tak jak kiedyś.



Żebyśmy spróbowali jakoś to naprawić. Oboje popełniliśmy błędy. Spróbujmy o nich zapomnieć. Chcę, żebyśmy znów się kochali. Chcę... - Przerwał na moment. - Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła. Nie odpowiadaj teraz. Odpowiesz mi, kiedy wrócę. Po prostu pomyśl o tym, Katy. W tę bezsenłą noc Katy nie robiła nic innego, tylko myślała. Stała w oknie sypialni i spoglądała na zimne gwiazdziste niebo. Kochała Connora. Co do tego nie było wątpliwości. Nie wątpiła też w jego miłość do niej. Ale czy miłość wystarczy? Czy naprawdę można wybaczyć i zapomnieć?

Czego chcesz, Katy?

Odpowiedziały głosy znikąd i zewsząd:

Czy mogę być twoim małym synkiem?

Nie chcę rozwodu. Chcę wrócić do domu. Chcę, żeby wszystko było tak jak kiedyś.

Twój mały synek jest w niebie, więc potrzebujesz małego synka.

Chcę, żebyśmy znów się kochali... znów się kochali... znów się kochali...

Gdy nadszedł świt, Katy podjęła decyzję. Zdawała sobie sprawę, że próbowała ją podjąć już od tygodni., Jednak nocą, gdzieś między wczoraj a dziś, myśli wykryształizowały się i były teraz czyste i bez skazy.

Podjęła decyzję. Nawet dwie. I mogła szczerze stwierdzić, że już od bardzo, bardzo dawna nie była taka szczęśliwa. Connor wrócił do domu w środę. Nie rozmawiał z Katy od poniedziałkowej nocy. Chciał z nią pomówić, ale zmusił się, by dać jej czas do namysłu. Zbyt wiele zależało od jej decyzji: cała ich przyszłość.

Gdy wszedł do domu, najpierw spojrzął na automatyczną sekretarkę. Migotanie czerwonej lampki



wskazywało, że były trzy telefony. Proszę, modlił się, niech jeden będzie od Katy!

Pierwszy był z redakcji, z prośbą o szybki kontakt. Drugi zawierał informację, że para spodni, którą oddał do reperacji, jest już gotowa. Trzecim dzwoniącym okazał się jego adwokat.

- Odezwij się. Mam tu coś, o czym powinniśmy pogadać. Serce Connora zaczęło bić szybkim rytmem. Wybrał numer kancelarii i od uprzejmej sekretarki dowiedział się, że jej pracodawca wyszedł na lunch. Z trudem zdusił przekleństwo.

Minęły trzy kwadranse, odmierzane kolejnymi okrążeniami pokoju, film zadzwonił telefon. Connor skoczył do aparatu.

- Halo?

- Connor?

- Tak.

- Przepraszam, ale wyszedłem coś zjeść, kiedy zadzwoniłeś.

- Nie ma sprawy. - Connor zmusił się do uprzejmości. - Dostałem wiadomość, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Owszem, chcę. Miałem dość ciekawy telefon od adwokata twojej żony. Zdaje się, że wycofała pozew o rozwód.

Myśli zawirowały Connorowi w głowie. Opadł na pobliskie krzesło.

- Connor, słyszysz mnie?

- Tak, słyszałem.

- Czy to cię zaskoczyło?

- Nie. Niezupełnie. Katy i ja rozmawialiśmy o tym, jak ocalić nasze małżeństwo, ale nie byłem pewien, czy zechce zaryzykować.

- No, chyba chciała.



- Tak, chyba chciała.

Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnie tego ponownego połączenia. A gdyby jednak postanowiła się rozwieść? Przeżyłby to jakoś? Wiedział, że tak, ale byłoby mu ciężko. Bardzo ciężko.

- Chociaż żyję z rozwodów, lubię patrzeć na ocalone małżeństwa - usłyszał głos adwokata. - Może dlatego, że sam przeżyłem rozwód. W każdym razie, życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego.

-Dzięki. Jestem naprawdę wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Po to tu jestem.

Connor odłożył słuchawkę na widełki. Teraz już wiedział, co chce zrobić. A skoro o tym pomyślał, musiał natychmiast gdzieś iść, po coś bardzo szczególnego.

Chwycił kurtkę i ruszył do wyjścia.

Ledwie Katy wróciła do domu, zadzwonił dzwonek u drzwi. Modliła się, by to był Connor. Powinien wrócić lada chwila. Zdaje się, że miał przylecieć około południa. Może jednak zmienił plany, może nie ma go jeszcze w mieście, a jeśli nawet, to może nie wie, że wycofała pozew o rozwód. A może wie i to on stoi za zamkniętymi drzwiami?

Serce biło jej mocno, gdy szarpnięciem otwierała drzwi.

Wzrok trafił na tuzin ociekających słodyczą czerwonych róż, pięknie ułożonych w kryształowym wazonie, który tkwił w rękach obcego mężczyzny.

- Katy McKellen? - spytał posłaniec.

-Tak.

- To dla pani. - Mężczyzna podał jej kwiaty.

- Dzięki - powiedziała, cofnęła się do wnętrza i zamknęła drzwi nogą.

Postawiła wazon w przedpokoju i zaczęła szukać



bileciku. Znalazła, zaplątany we wstążki równie czerwone jak róże. Było tam napisane: „Kocham cię. Connor.” Te proste słowa wycisnęły jej łzy z oczu.

Nie mogła już dłużej wytrzymać. Podeszła do telefonu i wybrała numer Connora. Gdy odezwała się automatyczna sekretarka, poczuła rozczarowanie. Zastanowiła się, jaką zostawić wiadomość. W końcu zdecydowała się na krótkie: - Dzwonię, żeby sprawdzić, czy już wróciłeś. I... zadzwoń do mnie.

Zerknęła na zegarek, zbliżała się szósta. Wbiegła na górę, zdjęła wyjściową sukienkę i włożyła ciepły biały dres i grube wełniane skarpety. Temperatura znowu spadała i przewidywano opady śniegu. Schodziła właśnie po schodach, gdy znów ktoś zadzwonił do drzwi. Tym razem to musi być on. Musi! Zbiegła pędem, jak nastolatka oczekująca pierwszej randki. Otworzyła drzwi.

Na ganku stał Connor, z dłońmi wbitymi w kieszenie swojej starej kurtki. Wydawał się archetypem męskości. Innymi słowy, wyglądał tak oszałamiająco, że nie mogła złapać tchu. Poczowała lekki zawrót głowy.

Connor objął wzrokiem spowitą w biel postać Katy. Na tle jasnych włosów i dresu jedynym widocznym kolorem była żywa i intensywna jak zawsze zieleń jej oczu.

Katy cofnęła się bez słowa, zapraszając go do wejścia. W milczeniu przestąpił próg i ogarnęła go ciepła atmosfera domu.

- Myślałam, że już nigdy nie wrócisz - powiedziała niezbyt pewnym głosem.

- Ja też - odparł.

Co się dzieje z moim głosem, pomyślał. Nagle był tak szorstki jak żwir na dnie strumienia.

- Dostałam twoje kwiaty. - Ruchem ręki wskazała wazon.



Connor nawet nie spojrzał na pąsowe róże, wypełniające zapachem całe pomieszczenie. Nic nie mogło odciągnąć jego wzroku od Katy.

- To dobrze - zdołał wymamrotać,

- Są piękne - stwierdziła. Namiętność w jego oczach sprawiała, że miękły jej kolana i coś ssało w żołądku.

- Dobrze - powiedział znowu, lecz trudno byłoby mu wyjaśnić, o czym właściwie mówi.

Cisza, tylko uderzenia serc. Cisza, tylko trzaskanie drewna na kominku, tylko tykanie zegara.

Niski, udręczony jęk wyrwał się z ust Connora, gdy porwał ją w ramiona i tulił do siebie, przysmykając oczy.

Katy modliła się, by ta chwila trwała wiecznie. Wtulona w kłujący policzek, wsparta na szerokiej piersi, czuła się ciepła, bezpieczna i spokojna.

- Kocham cię - szepnęła.

Czule, bardzo czule ujął w dłonie jej twarz, a potem ucałował lekko czoło, czubek nosa i wargi. Ciepłymi, słodkimi ustami tworzył pocałunek delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla. Wolno, niczym konający letni zefir, pocałunek dobiegł końca. Katy jęknęła w proteście.

- Musimy porozmawiać... - szepnął Connor. Odsunęła się niechętnie i przeszła do salonu. Ruszył za nią, po drodze zdejmując kurtkę i przerzucając ją przez poręcz sofy.

Wyglądała, jakby tam właśnie było jej miejsce.

- Dzwonił mój adwokat - oznajmił. - Powiedział, że wycofałaś pozew.

- Tak - przyznała, patrząc mu prosto w oczy.

- Czy tego właśnie chcesz, Katy?

- Tak - odparła szczerze. - Nie chcę tego rozwodu. Chyba nigdy nie chciałam. Lecz byłam zła i urażona. Myślałam, że cię straciłam.



- A teraz?

- A teraz chcę zapomnieć o wszystkim i zacząć od nowa. Jeśli ty tego chcesz.

- Wiesz, że tak. - Chciał powiedzieć więcej, ale nie bardzo wiedział, jak wyrazić to, co ma w sercu. Wreszcie chrapliwym głosem dodał: - Przykro mi, że cię zraniłem. Przepraszam, że nie byłem przy tobie, kiedy mnie potrzebowałaś. To bez znaczenia, kto miał rację. Przykro mi, że mnie nie było.

- To prawda. - Katy poczuła, że coś ściska ją za serce. - To już nieważne, kto popełnił błąd. Przypuszczam, że my oboje. I przepraszam, że cię zraniłam, że cię odepchnęłam. Naprawdę nie wiedziałam, co robię.

- Koniec przeprosin?

- Koniec przeprosin.

- Nie będziemy obwiniać siebie nawzajem?

- Nie będziemy.

- To dobrze - stwierdził. - Czy teraz wyjdiesz za mnie? Pytanie zupełnie zaskoczyło Katy.

- Przecież jesteśmy małżeństwem - przypomniała mu.

- To prawda. Ale chcę odnowić nasze śluby. Wzruszenie ogarnęło Katy.

- Nie próbuj nawet płakać. Tylko powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak, wyjdę za ciebie. - Powstrzymała łzy.

Connor sięgnął do kieszeni džinsów i wyjął pierścionek zaręczynowy, ten sam, który dał jej szesnaście lat temu. Widząc jej zdziwione spojrzenie, uśmiechnął się lekko.

-Dziś po południu włamałem się do domu - wyjaśnił. - Myślałem, że nigdy go nie znajdę.

- Nic dziwnego, że nie mogłeś zadzwonić. - Katy uśmiechnęła się także. -Dokonywałaś kradzieży z włamaniem.



- Miałem swój stary klucz. - Connor spoważniał. Podeszedł i wsunął jej pierścionek na palec. - Kocham cię.

Katy spojrzała na pojedynczy diament. Lśnił jasno i obiecująco.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła. - Kocham cię. Gdy tym razem przyciągnął ją do siebie, pocałował mocno, brutalnie, bezlitośnie. A ona odpowiedziała takim samym pocałunkiem.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pocałunek trwał wieczność, a kiedy się skończył, oboje ogarnęło niezwykle uniesienie. Łzy radości, bo tylko takie mogły być tolerowane, stanęły w oczach Katy. Connor czuł się jak latawiec w wietrzny dzień.

- Kocham cię! - wyznał, wirując z Katy w swoich objęciach.

- Postaw mnie - pisnęła ze śmiechem.

- Najpierw powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię!

- Jeszcze.

- Kocham cię! Kocham cię! Kocham cię! Zatrzymał się, opuścił Katy na podłogę i uciszył kolejnym pocałunkiem.

Rzeźbiąc kobiecą sylwetkę, przesunął dłońmi po miękkiej tkaninie dressu, a potem wsunął je pod bluzę.

Katy jęknęła, gdy dłonie Connora dotknęły nagiej skóry. Przyłgnęła do niego.

- Jesteś ciepła - szepnął. - Jesteś taka ciepła.

- Może pójdziemy na górę, gdzie sprawdzisz, jak bardzo - wymruczała cicho.

- Najpierw małżeństwo. - Z trudem cofnął dłonie.

- Jesteśmy małżeństwem, Connor. Pocałował ją krótko i szybko, ostatni raz. - Wiem, ale chcę zacząć od początku.

Chcę odnowienia ślubu i miodowego miesiąca. Zrób mi tę przyjemność.

- Mówisz poważnie?

- Absolutnie.



Przesunęła palcami po jego policzku.

- Dobrze. Jak chcesz. - Uśmiechnęła się. - Zresztą podoba mi się ten pomysł.

- Zaplanujmy więc ślub.

- Ślub? Nic nie mówiłeś o ślubie. Mówiłeś, że chcesz odnowić przysięgę.

- A gdzie mamy to zrobić?

- No... nie wiem.

- Chciałbym dziewięciometrowego welonu, ale zadowolę się skromną ceremonią.

Po dwudziestu minutach zapadła decyzja, że uroczystość odbędzie się za cztery dni, w niedzielne popołudnie, tutaj w salonie, przed kominkiem. W obecności pastora, przyjaciół i współpracowników. Potem, jeśli załatwią sobie urlop z pracy, a oboje liczyli, że im się uda, wyjadą na miodowy miesiąc.

- Co sądzisz o Bermudach? - zaproponował Connor. - A może Meksyk? Cozumel, Cancun?

- Zrób mi niespodziankę - zaproponowała Katy. Podniosła się z sofy i podeszła do kominka, by się ogrzać. Za oknem zaczynał padać śnieg. Katy myślała żartobliwie, że płatki opadały na ziemię z wahaniem, jakby nie były pewne przyjęcia. Może to jednak ona czuła się niepewnie.

- Muszę ci powiedzieć o moim postanowieniu. - Boże, żeby on chciał tego tak bardzo jak ja. Poważny ton głosu zwrócił uwagę Connora. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- O co chodzi, skarbie?

- Zdecydowałam się adoptować Davida - oświadczyła krótko. - Nic nie mów. Posłuchaj mnie najpierw.

Nawet gdyby chciał, Connor i tak nie mógłby wykrztusić ani słowa. Oświadczenie Katy pozbawiło go daru wymowy. Grom z jasnego nieba nie zaskoczyłby go bardziej.



- Posłuchaj - powtórzyła. - Oboje wiemy, że David ma prawie zerowe szansę na adopcję. Wychowa się jak sierota i choć nie ma w tym nic złego, jednak doskonale wiesz, że to nie to samo, co normalny dom i rodzice.

Ogień trzaskał głośno wśród ciszy, jaka zapadła po tych słowach.

- W każdym razie - stwierdziła - nie ma żadnych powodów, żebyśmy go nie adoptowali. Uwielbiam go i ty też. I on nas lubi. Reagował na nas tak, jak na nikogo innego. Dopuszczył cię tak blisko siebie... Nadal żadnemu innemu mężczyźnie nie pozwala się zbliżyć.

Katy urwała i znów zapadła cisza.

- Och, Connor, parę dni temu powiedział coś takiego, że niemal pękło mi serce. Spytał zupełnie niespodziewanie, czy może być moim małym synkiem, a potem obiecał, że będzie greczny. To było żałosne, Connor. Jakby musiał być greczny, żebym go chciała. Jest tak emocjonalnie spustoszony, że potrwa całe lata, nim odpracujemy to, co zrobił mu ojciec. Nie chce nawet rozmawiać o braciach, jak gdyby wymazał przeszłość z pamięci... a przynajmniej próbował.

I znów, kiedy przerwała, w pokoju zaległa cisza. Nie potrafiła opanować lęku. Dotąd nie mówiła Connorowi o prośbie Davida. Czy intuicyjnie wiedziała, jak zareaguje? Czy intuicja mówiła jej, co zrobi teraz? Nie, nie bądź głupia. Przecież Connor dbał o Davida tak samo jak ona.

- Co o tym sądzisz? - spytała, zmuszając się do optymistycznego tonu.

Connor milczał.

Lęk znów wypełnił serce Katy.

- Connor, co o tym sądzisz?

Miał wrażenie, że nadal huczy mu w głowie.

- Ja myślę, że... Jestem zaskoczony.

- Naprawdę? - Teraz on ją zaskoczył. - Czy to taki dziwny pomysł?



- Oczywiście, że to nie dziwny pomysł. Po prostu wcześniej o tym nie pomyślałem.

-To pomysł teraz -poprosiła. - On nas potrzebuje, a my potrzebujemy jego. Według mnie, to idealna sytuacja. Jakby nie mógł wysiedzieć bez ruchu, Connor wstał i podszedł do okna. Śnieg padał gęściej. Miał wrażenie, że na dworze jest zimno, a może to on był zimny...

Stojąc przed kominkiem, Katy również poczuła chłód. Miała ochotę wsunąć ręce w kurtkę Connora, ale obawiała się, że to też nie pomoże.

- Nie podoba ci się ten pomysł - stwierdziła, gdy było jasne, że Connor nie ma zamiaru się odezwać.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Wzruszył ramionami, jakby szukał właściwych słów.

- Myślę, że ten pomysł jest nieco przedwczesny. Przecież na razie próbujemy poukładać z powrotem nasze życie. Zresztą nie znamy Davida aż tak długo.

- A jak długo powinniśmy go znać, by myśleć o adopcji? Jeszcze miesiąc? Trzy miesiące? Cztery i trzy tygodnie? Rok i dwa dni?

Connor dostrzegł frustrację Katy i zrozumiał, że przyczyną jest jego brak entuzjazmu.

- Nie ma wyznaczonego czasu, ale...

- Nie? Więc całkiem możliwe, że właśnie teraz jest odpowiednia chwila.

-Katy, po prostu uważam, że rzucasz się w coś bez namysłu. Skąd ten pośpiech? Sama mówiłaś, że małżeństwa nie czekają w kolejce, by go adoptować. Twierdziłaś, że ma skazę emocjonalną. Dajmy mu trochę czasu na zaleczenie ran.

- Innymi słowy zaczekajmy, aż będzie mniej problemowy, żebyśmy nie musieli się z nim męczyć.

- Do licha, Katy, nie powiedziałem tego!

- Zabawne, ale to właśnie usłyszałam.



Znów zapadła cisza. Po prostu patrzyli na siebie. Katy na nowo ogarnął chłód... i nagle diament na palcu nie błyszczał już tak obiecująco.

Connor nie mógł znieść wyrazu rozczarowania w oczach Katy. Odwrócił głowę i jego wzrok padł na fotografię syna.

To dziwne, ale ten brak tchu, który już raz przeżył, powrócił teraz razem z zawrotem głowy. Równocześnie serce zaczęło bić szybkim, nierównym rytmem.

Zesztywniały i drżący, nabrał przemożnej chęci, by rzucić się do ucieczki. W przeciwnym razie zaraz zemdleje.

Próbując odzyskać opanowanie, odwrócił się, chwycił oparcie krzesła i raz jeszcze spojrzął na padający śnieg.

Po kilku sekundach Katy westchnęła.

- Wiesz, co myślę?

Connor milczał. Nie patrzył na nią. Był zbyt zajęty udawaniem, że nie popada w obłęd. Boże, co się z nim dzieje?

Kiedy nie odpowiadał, Katy mówiła dalej:

- Uważam, że się boisz. Oddałeś swoje serce jednemu dziecku i straciłeś je. Boisz się ryzykować kolejne cierpienie.

- A ty się nie boisz? - zdołał wykrztusić Connor. Wirujący wokół świat zwolnił nieco.

- Boję się - przyznała szczerze. - Ale jestem gotowa odsunąć rozpacz. Jestem gotowa podjąć ryzyko.

- Wiesz, co ja o tym myślę? - Connor odwrócił się gwałtownie. - Mam wrażenie, że robisz dokładnie to, co poprzednio. Chcesz poświęcić mnie i nasze małżeństwo dla dziecka, w tym przypadku dziecka, które nawet nie jest nasze.

- To cyniczne. Zwłaszcza że zależy ci na Davidzie. I w tym właśnie problem. Gdyby ci nie zależało, mógłbyś go adoptować w każdej chwili.



- Katy, nie jestem jeszcze gotów, by tak się angażować. -
Starał się nie patrzeć na zdjęcie syna. - Proszę, błagam, nie
stawiaj mi ultimatum.

- Moim zdaniem, to ty mi je stawiasz. Jeśli będę się upierać
przy adopcji, nie wrócisz, prawda? Czyż nie tak? - spytała
po chwili.

- Nie wiem - odparł, jakby siłą wrywał słowa z krtani. - Po
prostu nie wiem, Katy.

Uśmiechnęła się z żalem.

-Ja wiem.

Stała przodem do ognia, czując, jak zimny ciężar
przygniata jej serce. Przegrywała już wcześniej, ale nigdy
szczęście nie wydawało się tak bliskie. Janna miała rację.
Connor wciąż jeszcze musiał wiele naprawić. Chciałaby mu
pomóc, ale tylko on sam mógł udzielić sobie pomocy. Nie
można zdjąć z czyichś barków ciężaru rozpacz. Człowiek
musi zrzucić go sam.

- Wiesz, gdzie nas znaleźć, jeśli kiedyś zechcesz być
częścią naszego życia - powiedziała cichym, smutnym
głosem. Nie odwracała się.

Przez chwilę nie słyszała nic. Potem szelest skóry, gdy
Connor wkładał kurtkę. Kroki w salonie i przedpokoju,
gdzie ironicznie rozkwitały róże. A potem objęła ją
ogłuszająca, absolutna cisza. Zdjęła z palca zaręczynowy
pierścionek i położyła obok fotografii Patricka. Chciała
płakać i miała nadzieję, że później łzy nadejdą. Na razie
zbyt mocno cierpiała.

—Postąpiłaś słusznie - stwierdziła Janna następnego
popołudnia.

Katy stała w kuchni przyjaciółki i wyglądała przez okno.
Niebiosa wciąż sypały na miasto śnieg. Obejmując się
ramionami, usiłowała odpędzić chłód, ale nie potrafiła.



-Katy, słyszałaś?

- Tak, słyszałam - odparła.

- Nie możesz się załamać. Nie możesz dać Connorowi pretekstu, by wciąż uciekał. Musi pogodzić się z faktem, że jego syn nie żyje. Musi się nauczyć żyć dalej.

Katy odwróciła się. Wiedziała, że Janna ma rację, wiedziała, że sama miała rację, ale to nie dawało pocieszenia. Zwłaszcza że ta racja oznaczała także samotność. Nocą o mało nie zadzwoniła do Connora, by zapewnić, że przyjmie go na każdych warunkach. Zrezygnowała. Nie mogła. Powstrzymało ją wspomnienie Davida. Jej syn odszedł na zawsze, pozostawiając tylko wspomnienia. Jemu nie była już potrzebna. Davidowi tak.

- A jeśli Connor nigdy się nie nauczy? - zapytała. - Jeśli nigdy nie pogodzi się z faktem, że jego syn nie żyje?

- To jest ryzyko, które musisz podjąć.

- Tak... - westchnęła Katy. Widziała lęk na twarzy Connora, strach w jego oczach. I choć pragnęła wierzyć, że jest inaczej, nie była pewna, czy potrafi się wznieść ponad ten ogrom lęku.

- Chodź, powiedz mi o Davidzie. - Poczuła na ramieniu dłoń Janny.

- Dzisiaj złożyłam wniosek o adopcję. - Katy uśmiechnęła się, mimo bólu. - Formalności muszą trochę potrwać, ale ze względu na okoliczności sądzę, że wszyscy chętnie pominą biurokratyczne przepisy.

- Kiedy przewieziesz go do domu?

- Nie jestem pewna. Może za parę dni. Nie dalej niż za tydzień.

- Powiedziałaś mu już? Uśmiech Katy zniknął.

- Tak. Och, Janno, żałuj, że go nie widziałaś. Tak



bardzo starał się nie okazywać emocji, udawać, że to nie ma znaczenia... Ale nie potrafił. Przez cały czas pytał, czy adopcja to znaczy na zawsze, i czy teraz będzie mieszkał w moim domu. I czy kiedyś będzie musiał jeszcze „tam” wrócić.

- Mówiąc „tam”, miał na myśli Tennessee i ojca?

- Tak. - Niezwykły gniew ogarnął Katy na myśl o tym, co przeżył ten chłopiec i co powiedział jej tego popołudnia. - Powtarzał cały czas, że będzie grzecznym chłopcem i nie będę musiała go bić.

- To dziecko cię potrzebuje, Katy. I ty go potrzebujesz.

Trzymaj się tego faktu. Trzymajcie się siebie nawzajem.

-Tak, ale on potrzebuje też ojca - westchnęła Katy. - A ja potrzebuję męża.

W czwartkową noc spadło jeszcze więcej śniegu. W piątek rano, ku radości uczniów, zamknięto szkoły, podobnie jak wiele firm. Nawet redakcja gazety pracowała w ograniczonym składzie, a większość artykułów traktowała o pogodzie. Connor jeździł po mieście redakcyjnym jeepem z napędem na cztery koła. Informował o zerwanych pod ciężarem sopli przewodach elektrycznych, o kobiecie dokarmiającej stada wygłodniałych ptaków i o grupie rozbawionych dzieci, które budowały bałwana na podobieństwo Michaela Jacksona.

Connor pracował, jakby był zaprogramowaną maszyną.

Czuł pustkę i to mu odpowiadało. Nie chciał niczego odczuwać. Ta pustka wypełniała go coraz bardziej. Rosła i rosła, aż przeląkł się, że go rozsadzi. Może przy odrobinie szczęścia do tego czasu straci rozum, do czego, jak sądził, zbliżał się wielkimi krokami.

Częścią problemu był fakt, że nie spał od dwóch dni.



W środę, po wyznaniu Katy, krążył po pokoju zawieszony pomiędzy bólem i gniewem. Znowu chciała go poświęcić, ich oboje, dla dziecka. Lecz nawet gdy nurzał się w swym nieszczęściu, wiedział, że jest egoistą. Myślał tylko o sobie, a Katy myślała o potrzebach chłopca.

W czwartek pojechał do izby dziecka odwiedzić Davida, który wciąż nosił przy sobie, niczym talizman, wyschniętą jemiołę. Jednak nie zdołał wysiąść z samochodu. Znow ogarnął go lęk, znow biło serce i miał uczucie, że rozsypie się, gdy tylko wystawi nogę na zewnątrz. Więc tylko siedział, wyzywał siebie od tchórzy i powtarzał, że potrzebuje psychiatry, i to bardzo. Kiedy dłonie przestały mu drżeć i wyrównał się oddech, wrócił do domu, gdzie przeżył kolejną bezsenną noc. Tym razem brakowało mu już energii, by krążyć po pokoju. Siedział w fotelu, pozwalając, by noc zamknęła się wokół niego. W piątek wyglądał jak upiór i czuł się jak upiór, ale zupełnie się tym nie przejmował.

Właściwie niczym się nie przejmował.

Gdy przybył na plac budowy bałwana, wzburzył go widok dzieci. Kilkoro było w wieku Patricka, gdyby żył. Były też w wieku Davida. Uwagę Connora zwrócił jeden z jasnowłosych chłopców. Tak bardzo przypominał Davida, że budził lęk.

Pojutrze mieli z Katy odnowić ślubną przysięgę. Teraz nie będzie ceremonii i musiał przyznać, że to jego wina. Ale czego wszyscy od niego chcą? Czego on sam chce od siebie?

- Hej, Connor, dobrze się czujesz?

Spojrzał na kolegę przekrwionymi, zmęczonymi oczami.

- Tak, w porządku. Zrobiłeś te zdjęcia?

- Zrobiłem. A ty masz tekst?



- Mam. Jedziemy.

Fotograf był własnym wozem i teraz wyjechał na oblodzoną ulicę. Connor ruszył za nim w bezpiecznej odległości. Rozdzielili się gdzieś po drodze do redakcji. Nagle Connor dostrzegł przed sobą bramę cmentarza i zrozumiał, że to przeznaczenie. Z jakichś obłąkanych powodów, których nie umiał wyjaśnić, wydawało mu się, że coś go tu ciągnie. Że słyszy wołanie syna.

A może słyszał anioły.

Świat za żelazną bramą był cichy i przytłumiony. Wszystko wyglądało tak spokojnie... nie chaotycznie, nie jakby miało rozpaść się na części. Stąpając po głębokim białym puchu, Connor ruszył do znajomego grobu. Mógłby go minąć, gdyby nie pomnik i anioły. Zatrzymał się pod nagim wiązem i spojrzał na granitowe postacie.

Milczały jak zwykle.

Odwrócił głowę, szukając we wspomnieniach wizerunku Patricka. Widział syna jako niemowlę, widział go w ramionach Katy, widział w szpitalu, podłączonego do ponuro wyglądających rurek i przewodów. Cofnął się przed ostatnim obrazem. Budził poczucie lęku i bezradności.

Budził poczucie, że zaraz rozsadzi go pustka.

Dlaczego ta nicość nie chce go opuścić?

Cisza.

Żadnej odpowiedzi.

Do diabła, nigdy nie było odpowiedzi! Na przykład, dlaczego jego syn musiał umrzeć? Dlaczego on nie mógł tego powstrzymać? Dlaczego nie potrafił ulżyć mu w chwili śmierci? Ale nic nie mógł zrobić, tylko patrzeć i czekać. Obie te rzeczy były najokrutniejszą z tortur. Dlatego uciekł. Nie potrafił trzymać bezwładnej dłoni syna. Nie mógł znieść widoku cierpienia na jego twarzy. Nie potrafił słuchać odgłosów śmierci.



Connor uśmiechnął się z pogardą dla samego siebie. Tak, uciekł; w pośpiechu, nie oglądając się. To prawda, że Katy odepchnęła go, pochłonięta własną rozpaczą. Lecz dała mu także doskonały pretekst, tak potrzebny, by nie patrzeć i nie czekać.

A teraz nadal uciekał.

Tym razem uciekał przed miłością do Davida. Na samą myśl o chłopcu ogarnęła go fala poczucia winy. Jak mógł nawet myśleć o tym, by inne dziecko nazywać synem? To pytanie wypełniło mu serce bólem i zamętem.

Zamknął oczy.

Czy będzie miał dość odwagi, by przerwać ucieczkę?

Czy będzie miał dość odwagi, by znów pokochać?

Odpowiedzią była cisza.

Ta cholerna cisza!

Otwierając oczy, pogodził się z tym, co wiedział już od dawna. Nigdy nie uzyska odpowiedzi na te pytania. Jego przeznaczeniem było już zawsze opłakiwać syna, już zawsze uciekać, już zawsze...

Znieruchomiał, dostrzegając ślad zieleni u stóp jednego ze skrzydlatych aniołów. Przedtem nic tu nie było. Connor był tego pewien. Uniósł głowę i spojrzał na nagie gałęzie drzewa. To musiało spaść z góry. Ale co to mogło być? Co jest zielone o tej porze roku?

Jemiola.

Odpowiedź uderzyła go z mocą mowy aniołów. Serce zabiło szybko, gdy podnosił pokrytą jagodami gałązkę. Tak, to była jemiola, zielona i pełna życia w miejscu i czasie tak wypełnionym śmiercią. Czy możliwe, że to anioły mówiły mu, by przerwał ucieczkę, by zebrał się na odwagę i pokochał znowu? Czy możliwe, że anioły mówiły do niego już dawno, lecz on niczego nie słyszał wśród straszliwego huku własnego cierpienia?



Pomyślał o Davidzie: o tym, jak chłopiec zaczął mu ufać, jak wtulił twarz w jego ramię, jak przestraszony flniem schronił się na jego kolanach. To nie mógł być przypadek, że anioły przemówiły poprzez jemiotę.

Ale jak miał nazwać uczucie, które wzbierało mu w sercu? Miłością. Kochał Davida tak, jak kochał i zawsze będzie kochać swego syna.

Pustka w jego wnętrzu eksplodowała. Ogarnęły go dziesiątki wrażeń, poczuł się żywy, wolny, poczuł wilgoć na policzku.

Wilgoć?

Łzy?

Tak, łzy, potwierdziły czubki palców.

Nadszedł długo oczekiwany płacz.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sześć tygodni później, w piątek, pod koniec lutego, Connor przebiegał się przez zatłoczone ulice w drodze do domu. Dom. Wciąż cieszyło go to słowo z jego wszystkimi słodkimi skojarzeniami. Domem nie było już samotne mieszkanie z wynajętymi meblami i ścianami, które go przygniatały. Nie było już nieskończonej ciszy, która pożerała mu duszę. Domem był teraz znajomy, często hałaśliwy budynek, który dzielił z żoną i synem. Formalnie David będzie jego synem po dokonaniu adopcji, ale praktycznie był nim już teraz.

Connor zauważył, że światło na skrzyżowaniu zmienia się z zielonego na żółte. Nie zdąży, pomyślał niemal gniewnie, gdyż tracił czas, który mógłby spędzić z rodziną. W zamian podążył do domu myślami. David, który przynosił ze szkoły coraz lepsze oceny, wybiegnie mu na powitanie, powtarzając zadawane przez cały tydzień pytanie: Ile dni zostało do soboty? Connor uśmiechnął się myśląc, jak będzie tłumaczył, że sobota jest bardzo blisko, już jutro, i że zarezerwował prawie cały dzień na budowę domku dla ptaków. Potem będzie musiał opowiedzieć, jak na wiosnę mama i tata ptak zbudują w tym domku gniazdo i wychowają całe mnóstwo małych ptaszek. Connor spoważniał, przypominając sobie, jak David spytał, czy tata ptak bije czasem małe ptaszki. To dziecko miało tak wiele blizn. Tylko czas, cierpliwość i miłość mogły je usunąć. On i Katy też nosili swoje



blizny. Z tego powodu cała trójka chodziła do psychologa. David musiał się nauczyć, że nie wszyscy ojcowie biją dzieci, i że to bicie nie było jego winą. Choć może to dziwne, Connor i Katy chcieliby nauczyć się, że nie zawsze musi być grzecznym chłopcem, że każdy popełnia błędy. Sami też chcieli się tego nauczyć.

W szczególności Connor wiedział, że musi sobie wybaczyć miłość do innego dziecka, bo naprawdę kochał Davida. Całym sercem. Miłość do Davida była inna niż ta dla Patricka. Nie większa, nie mniejsza, po prostu inna. Pozostał także strach, że straci Davida tak, jak stracił Patricka. Czynił jednak postępy. Ataki lęku zdarzały się rzadziej i były słabsze. Psycholog pomagał mu dostrzec, że ma dość sił, by poradzić sobie z życiem. Przecież przeżył już jeden koszmar.

Nie zmieniła się jego miłość do Katy. Nie, to nie była prawda, pomyślał, gdy zapaliło się zielone światło i kolumna samochodów ruszyła znowu. Ich miłość była silniejsza niż kiedykolwiek. Została sprawdzona i zahartowana. Nawet oni sami nie potrafili jej zabić. Sama myśl o Katy sprawiła, że serce wypełniło się uczuciem, a ciało pożądaniem. Nigdy nie wyglądała piękniej niż na ich ślubie, który w cudowny sposób, i tylko dzięki zaangażowaniu przyjaciół, odbył się zgodnie z planem, w niedzielę. W bladuróżowej sukni z bukietem orchidei, róż i jemioly - kiedy Connor upierał się przy jemioly, kwiaciarka myślała, że zwariował - Katy po raz drugi przysięgła mu miłość. Connor również złożył przysięgę. David podał obrączkę, a Connor wsunął ją na palec Katy. Sporo gości płakało. Connor także.

I Katy.

A kiedy już się zdawało, że dzień nie może być wspanialszy, David dał im najpiękniejszy ze ślubnych prezentów. Uścisnął oboje, bez jemioly.



Z tym miłym wspomnieniem Connor skręcił na podjazd i do garażu. Na widok świateł w oknach ogarnęło go poczucie ciepła. Był w domu. Wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zjął lotniczą kurtkę i rzucił na krzesło. Nie trafił i kurtka spadła na podłogę. Równocześnie zrzucił buty. Miękki dywan pieścił mu stopy.

- Katy! Davidzie! - zawołał.

Nic, oprócz ciszy. Nie, nie absolutnej ciszy. Słyszał ogień na kominku, więc wiedział, że Katy musi być w domu. Nie wyszłaby, nie gasząc ognia.

- Hej, gdzie są wszyscy?! - krzyknął i ruszył do kuchni.

Może coś gotuje, a David jej pomaga. Może...

Nic. Kuchnia była pusta. Przygotowania do kolacji nawet się nie zaczęły. Connor zmarszczył brwi i ruszył do salonu.

- Hej, Katy!

Nagle słowa utknęły mu w gardle, a równocześnie serce wrzuciło wyższy bieg.

Katy stała na najniższym stopniu schodów, mając na sobie tylko jego kurtkę i uwodzicielski uśmiech. Ręce wsunęła w kieszenie, a podniesiony kołnierz obramował seksownie napuszone włosy.

- No, no - westchnął Connor, spoglądając na nagie, kształtne nogi, wysuwające się spod kurtki. -Widzę, że pani domu jest na miejscu.

- Aha - odparła Katy, dostrzegając rosnące podniecenie męża. - Widzę, że pan domu też tu jest.

- Czy mogę zakładać, że dziecka domu tu nie ma?

-To rozsądne założenie - przyznała Katy. - Spędzi noc z Rickym. Bawią się w astronomów. Wiesz, oglądają gwiazdy, księżyc, planety, wszystkie te niebieskie ciała. Mówiła tak, jakby wcale nie wszystkie ciała niebieskie znajdowały się na niebie.



Po tej wiadomości krew Connora stała się gęsta i gorąca.

- Czy to znaczy, że pani domu i pan domu na całą noc mają dom dla siebie?

Wprawdzie planowała ten wieczór przez cały dzień, jednak stwierdzenie tego oczywistego faktu podekscytowało ją jeszcze bardziej. Czuła się zdecydowanie rozpustna, zdecydowanie nieprzyzwoita.

- Zgadza się - potwierdziła gardłowo. - Chcesz się bawić w lotnicze sztuczki? Chcesz robić ze mną dzikie i nieprzyzwoite rzeczy?

- Nie - zaprzeczył, a jego głos brzmiał jak przesuwany po piasku jedwab. Pamiętał pierwowzór tej sceny. Zanim Katy zdążyła zmarszczyć brwi, wyjaśnił: - Chcę, żebyś ty robiła ze mną dzikie i nieprzyzwoite *rzeczy*.

Żar oblał całe ciało Katy, od czubka głowy po końce palców nagich stóp. Myśli, które szalały jej w głowie, były bardziej niż gorące.

- Można to załatwić, pilocie. Pożądanie Connora wzrosło.

- A więc... - zaczął. - Czy jesteś naga pod tą kurtką? Katy, która cały czas z trudem osłaniała się połami miękkiej skóry, wymruczała:

- Będziesz musiał sam się przekonać. Connor podszedł bliżej.

- To brzmi jak propozycja nie do odrzucenia.

- Taką właśnie miała być.

Zatrzymał się. Stała na stopniu, więc ich oczy spotkały się na równym poziomie. Błękitne oczy spoglądały w zielone, zielone tonęły w błękitnych.

- No i co? - przekomarzała się. - Chcesz zobaczyć, co noszę pod spodem?

- Mam ten zamiar - szepnął Connor. - Możesz być tego pewna.

Mówiąc to przesunął palcem po podniesionym



kołnierzu i wolno przeciągnął wzdłuż zapiętej kurtki. Nawet przez grubą skórę Katy czuła jego dotyk i pieśczość. Zadrżała w oczekiwaniu. Lekko odchyliła głowę i ściągnęła wargi.

Ta zmysłowa kobieca reakcja przyprawiła Connora niemal o szaleństwo.

- Och, Katy - szepnął.

Musnął grzbietem dłoni jej policzek i rozchylone wargi. Potem przesunął dłoń wzdłuż linii szyi. Tym razem, kiedy dotknął kurtki, wsunął palce pod spód, a drugą ręką chwycił za klapę i z doprowadzającym do obłędu brakiem pośpiechu zaczął rozsuwać poty.

Na widok nagich, nabrzmiatych piersi zaczął oddychać szybciej. Na widok wąskiej talii przyspieszył mu puls. Na widok trójkąta złotych włosów jęknął.

- Zamknij oczy - poleciła Katy. A gdy się wahał, powtórzyła: - Zamknij oczy.

Posłuchał niechętnie, gdyż nawet na chwilę nie chciał tracić jej z oczu.

Z niewiarygodną delikatnością Katy najpierw musnęła wargami, a potem mocno pocałowała jego usta.

Jednocześnie położyła jego dłonie na swoich piersiach.

Jęk Connora zmienił się w cichy pomruk.

- Do licha, Katy - szepnął. - Zabijasz mnie. - Dopiero zaczęłam. Możesz być tego... pewien. Urwała, gdy usta Connora sięgnęły ku jej piersi. Przez następne kilka minut trudno było powiedzieć,

kto kogo zabija. Pocałunki stały się bardziej gorące i dzikie, pieśczoć coraz bardziej intymne. - Katy zdołała ściągnąć mu sweter przez głowę, by dłońmi i ustami sięgnąć ku jego szerokiej piersi. Connor odszukał wszystkie słodkie zagłębienia i wypukłości. Właśnie miała mu powiedzieć, że doprowadza ją do szału, gdy pod wpływem pieśczoć smukłych palców słowa zmieniły się w gardłowy jęk.



- Jesteś taka podniecająca, skarbie - tchnął w jej wargi -
Taka podniecająca - powtórzył i pocałował.

Katy jęknęła. Instynktownie podążyła dłonią do guzika
dżinsów Connora.

Mruknął coś gardłowo i wyjaśnił, co ma ochotę z nią
zrobić.

- Tutaj. Na schodach - nalegała.

- Jak chcesz.

Zaczął zdejmować spodnie. Po chwili był nagi. Położył
Katy na schodach, przykrył sobą i zatonął w niej. Wygięła
plecy w łuk, wychodząc mu na spotkanie.

Oddała siebie mężowi.

Oddał siebie żonie.

Po chwili Connor zaczął się śmiać.

- Co w tym zabawnego? - zdziwiła się Katy.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy? -Tak.

Na schodach - odparła. -I wcale nie są takie
wygodne.

- Szczerze mówiąc, nie. - Przesunął się, by zająć mniej
męczącą pozycję.

- Dzięki Bogu, bo już myślałam, że tylko mnie się tak
wydaje. - Katy poruszyła się pod nim.

Connor próbował się podnieść, nie zdołał i upadł z
powrotem. Katy zachichotała. Roześmiał się i spróbował
znowu. Tym razem wstał, pociągając ją za sobą.

- Miło będzie się przekonać, do czego służą łóżka -
zauważyła.

- Skoro o łóżkach mowa... - Przerzucił ją przez ramię i
ruszył na górę.

Katy, wciąż w jego kurtce, pisnęła. Po chwili pochłonął ją
materac. Connor rzucił się za nią i przycisnął mocno.

- Kocham cię - szepnął, patrząc jej prosto w oczy.



I naprawdę kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Janna powiedziała kiedyś, że miłość wystarczy. Przez pewien czas Katy była sceptyczna, lecz teraz już nie. Miłość wystarczałaby połączyć dwoje ludzi, choćby nawet odnieśli głębokie rany. Wystarczała, ponieważ była wszystkim, co mieli dla siebie mężczyzna i kobieta.

I jak nigdy przedtem, podziwiała Connora. Patrzyła, jak walczy ze swymi demonami. Przytulała go wtedy i pocieszała swoją bliskością, obietnicą, że zawsze będzie przy nim.

Co do siebie, wciąż musiała stoczyć jeszcze jedną czy dwie bitwy. Wiedziała, jak łatwo zatracić się we własnym żalu i cierpieniu. Wtedy nie chciała dzielić z nim bólu. Poświęciła Connora dla Patricka, nieświadomie, nieumyślnie, a jednak boleśnie. Jako przestrożę, by nigdy się to nie powtórzyło, Katy poprosiła Jannę o Trójnoga, kalekiego kotka, gdy tylko będzie można zabrać go od matki. Chciała ofiarować mu dom, gdzie może wyrosnąć na prawdziwego kota. Tak, jak chciała pomóc Davidowi w pełnej realizacji własnych potencjalnych możliwości.

- Uda nam się - oświadczył Connor. Katy łagodnie dotknęła jego policzka.

- Wiem.

- Tylko ty, ja i nasz syn - powiedział.

- Tylko ty, ja i nasz syn - powtórzyła.

Ten układ mieścił w sobie jakąś siłę. Katy i Connor wiedzieli o niej, wyczuwali ją. A może to było coś więcej niż siła. Może była to odrobina magii, tej magii, którą można czasem odnaleźć w ozdobionej wstążkami gałązce jemioli. Tej magii, którą zawsze można znaleźć w miłości.

